

ANDRZEJ GALICA



PRZYSIĘGA

URYWEK Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO
NA PODHALU
W TRZECH ODSŁONACH

PRZEDMOWA WŁADYSŁAWA ORKANA
OKŁADKA I OZDOBY FELICYANA KRAKOWSKIEGO

Sądecka Biblioteka Publiczna



3000172761

REGION

KRAKÓW 1909 □ KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA WE LWOWIE
□ KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWERE I SP. W WARSZAWIE □

~~ZBIORY SPECJALNE~~
~~XIX w.~~

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Słowackiego
w Nowym Sączu
Region

196403

821.162.1-2:338 (438)

821.162.1-2:338 (438)



PRZEDMOWA.

Rekomenduję Wam znów jednego górala. Nie jest on wprawdzie młodzieniaszkiem, ani do tela nieśmiałym, iżby go trza było publice przedstawiać, ale że przez swój dramat wchodzi do „szkoły podhalskiej“ (nie jam winien tej nazwy — tak mi Boże góralski dospomóż), więc trza o nim powiedzieć słów kilka.

Na czem ta „szkoła“ polega? Sądzę, że chyba tylko na czerpaniu tematów z Podhala i na używaniu w zamiarach swych twórczych gwary podhalskiej albo jej charakterystycznych zwrotów, powiedzeń, obrazowania lub składni. Bo zresztą ci ze „szkoły“ różni są wieldze w naturach swych i w pracach od siebie. — Taki Józef Jedlicz z Wróblówki, istny helleń-

czyk, spokojny, w poezji niejako brat przyrodni Staffa — Feliks Gwiżdż z Odrowąża, nowelista, kpiarz mądry i pieśniarz szczerzy — Zygmunt Lubertowicz z Nowego Targu, epik z talentu a powicher z myśli (niewiada jeszcze, jako się wyrazi) — no i teraz Andrzej Galica z Poronina... Czy dramaturg? Tego jeszcze na podstawie „Przysięgi“ przysiądz stanowczo nie można. Jako inżynier, więcej on się dotąd cyrklem niż piórem trudnił, a „Przysięgę“ swoją napisał przed laty kilku, kiedy to realizm w sztuce nawet duże talenty porywał.

Galica Andrzej urodził się w Poroninie, bliutko Tatr, szkoły odbył w Krakowie i we Lwowie na Politechnikę chadzał. Tu w ruchu społecznym żywy brał udział i w „Promieniu“, piśmie postępowem młodzieży, pierwsze swe artykuły gorące zamieszczał. Przesadzony do Wiednia, na obcy grunt, sercem wracał ku swoim góróm i ludziom — i stąd szereg nowel, drukowanych po pismach, stąd „Przysięga“. Wszystko tematem ze swojej dziedziny, z pod hal.

Wszystko to nie jest tak udule, jako ma być. Ale bo też nie temu życie ofiarował. Ino cóż — życie chce się wyżyć. A dopieroż góralska natura. Czego się chyci, to robi. Weźmie pióro — to napisze, imie się pendzla — no to namaluje. I to rzeczy niezgorsze. A jak wolę w to rzuci, umysł cały — no to już wyjdzie rzecz piękna. Do cudu. O każdym żywym człowieku, ale też więcej o góralu, nie można nic powiedzieć wyraźnego na podstawie rzeczy, jaką robi — bo dyascy wiedzą, co może nowego stworzyć, jak się uprze. To się też do Galicy stosuje, jak święte.

Kiedy wyjdę na Galicową Grape, siadę naprzeciw Tatr i głowę podam dumanu — śnią mi się rzeczy dawne, przez sen zdaleka wypiękniałe... Podhale z przed paru wieków — z czasów rebelii chłopskiej, z czasów Kostki — doliny czerniejące borem nietykalnym — Zakopane, dziś miasto, jako polana wśród lasu... A wiatr nawiewa pieśni, kiedyś żywe... Słyszę — gazda jakiś pokraczny skarży się śpiwką na junaka, jednego z tych „chłopców

dobrych“, co to „wyskakowali za bučki“, „na uherskie“...

„Hej! Galica! Galica!
Nieszczęśny Galica!
Pokrodeś owiecki,
Nie ujdzieś Wiśnica...“

Nie tak to dawno musiało być. A dziś — coż będzie robił? Przywiązany do biura, będzie się tłukł, jak krogulec w zamknięciu. I chcąc się wyżyć pełnią, będzie się imał wszystkiego — pendzla, pióra, kilofa... To za mało — więc będzie walczył o niesprawiedliwości świata, o krzywdy ludzkie, o ślebołę... zapominając, że walczy ino o siebie.

Stanowisko społeczne autora w „Przysiędze“ wyraźnie widać. Dziś borbuje się inaczej.

W Zakopanem 30 policyantów strzeże porządku, broni państwa i „państwa“. Na honor przeciw Górali, mocno już podupadły, muszą dodać, że to są jednak „same cepry“.

W Poroninie, pod Galicową Grapą, w styczniu 1909.

Władysław Orkan.



PRZYSIĘGA

„Ej ta slysę — moje dziecko — jak poza ściany septają kumoski, jako mię probosc za twoje gazetki nie pozwoli pochować na święconej ziemi... Jednak tak se myślę w tej mojej ostatniej godzinie: Jeśli sumienie moje spokojne — mogą pochować i na Galicowej grapie...”

*Przez pamięć na tę chwilę —
Tobie Matko moja utwór ten przypisuję.*

OSOBY:

SOBEK SKOMLA, gazda, lat 35.

MATKA SKOMLI, lat 60.

TEREŚKA, siostra, lat 25.

KUBA }
JÓZEK } pacholcy.

GRZĘDA, gazda, lat 60.

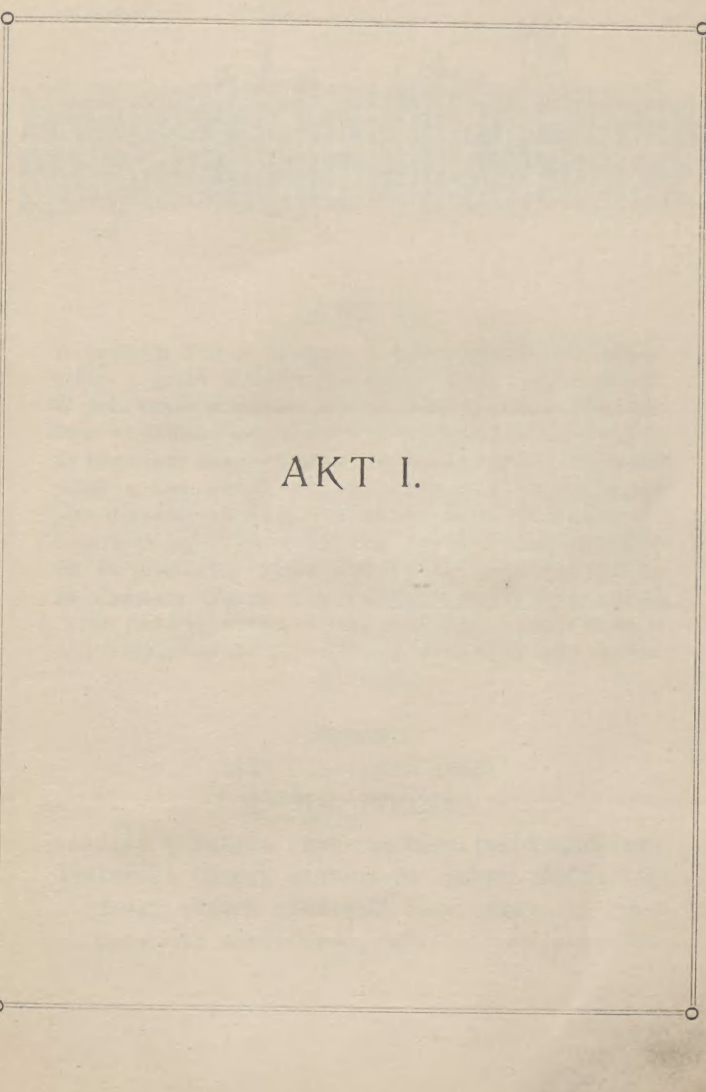
JASIEK, jego syn, lat 30.

JAŁKATY, sąsiad, lat 70.

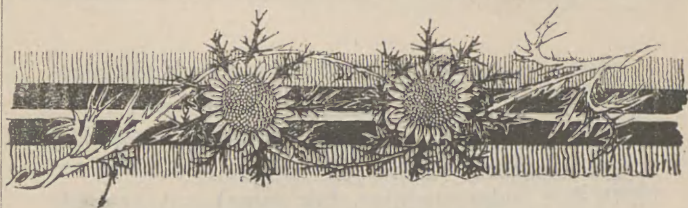
PAŃSKA KASIA, lichwiarka, lat 40.

KUMOSZKA.

Przygodni: Dziad, Cygan, Rzańdziarz, Pastuchy, Baby, Chłopi.



AKT I.



AKT I.

W chałupie Skomli. Wnętrze izby mieszkalnej na Podhalu. Ściany z grubych krzesanych belek, szpary otkane mchem. W głębi drzwi wehadowe ze sieni. Na prawo od widzów okna dwa, na jednym w glinianych wazonikach kwiatki. W kącie, na lewo przy drzwiach piec. Na prawo wisząca na ścianie półka, w niej miski, naczynia. Obok okna łyżnik, za nim parę drewnianych łyżek. Pod oknem, na przodzie sceny, stół z grubych dębowych desek, przy nim dwa takie same krzesła. Po przeciwnej stronie, wzdłuż ściany, obszerne, familijne, na wysokich nogach łoże. Pościelone nakryte białą chustą. Ponad pościelą, wzdłuż ściany, zawieszona u sufitu żerdź, na niej łachy. Naokoło, popod ściany, drewniane ławy, podłoga dyłowana.

Scena I.

Świt — za oknami dzieńje.

MATKA, TEREŚKA.

MATKA (roznieca ogień na piecu pod trójnogiem).
TEREŚKA (siedzi skulona na niskim stołku koło pieca, obiera ziemniaki i od czasu do czasu przerywa zamyślona. Przy niej na ławce ka-

ganek rzuca słabe światło na izbę. Kończą godzinki).

MATKA (śpiewając monotannie). „Pani, wspomogaj modlitwy nasze“. (Dmucha).

TEREŚKA (odpowiadając, tak samo). „A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie“.

MATKA. „Błogosławmy Panu“. (Dmucha).

TEREŚKA. „Bogu chwała...“

MATKA. „A dusze wiernych zmarłych przez miłosierdzie boże niech odpoczywają w pokoju“. (Dmucha).

TEREŚKA. „Amen“.

MATKA i TEREŚKA (klękają i śpiewają razem). „Z pokłonem Panno święta ofiarujęm Tobie ten pienia i modlitwy ku twej czci ozdobie, prosząc, byś się za nami grzesznymi modliła, a przy śmierci nam słodką Maryą przybyła. (*bis*, wstają).

TEREŚKA (siada i skrobie dalej).

MATKA (dmucha, ogień się podnosi, to przygasa).

TEREŚKA (ciężko wzdycha).

MATKA (przerywa dmuchanie). Cud boski, co ten ogień dziś wyprawia — jak na złość... (Dmucha, płomień się podnosi, przykłada patyków).

TEREŚCE (znów na chwilę nóż ustaje w palcach).

MATKA (prawie obziera się poza siebie). Joj, Tereśka! nie dumaj, ba skrob, co tchu. Chłopów

co jeno nie widać... (Nalewa wody do garnka i stawia na trójnogu). Sobek zaś zrobi piekło, że darmo w chałupie siedzimy...

TEREŚKA (wzdycha). He, mamó — dziwny miałam sen tej nocy. Tak, jakżeby gdzie był odpust. Ludzi szło coniemiarą. Ja stała sama przy drodze, a oni szli i szli, z krzyżami, ze świecami, jak w zaduszne dni. A tacy smutni, zimni, jak z tamtego świata. Patrzyli na mnie — a nikt mnie nie poznawał. Ja się rozpłakała — i jakoś potem znalazła się w izbie. Patrzę przez okno, a Sobek niesie po kamieńcach straszny, czarny krzyż. Zawrócił z nim do naszej obory, wszedł do izby i położył go na środku dyli. Sam klęknął, załamał ręce nad głową... Potem łapał rąbanicę z za siekiernika, porąbał ten krzyż na drobne kawałki i strasznie zaklął. Krzykłam we śnie i obudziłam się... Prawieście mnie przyšli budzić... I tak mi jakoś smutno...

MATKA. Cobyśta o snach myślała — sen mara...

TEREŚKA (powoli). Tak, sen mara... (po chwili)

Ale ta i Sobek mamó nie doznaku dobrze robi...

MATKA (przyciszonym głosem). Dyć kieby dobrze robił, toby nocami przed ludźmi nie orał...

TEREŚKA. Abo miał też sumienie za głupie jabłka obdzierać pasterzy, a potem jeszcze do kryminału wsadzać. Aż wstyd — za takie psiarki,

żeby się ich świnia nie tkła... A z komornikami? Wiecie mamó, jak se czasem pomyszę, tobym wołała się gdzie przepaść z tej chałupy. Już mi to het obrzydło. Ludzie patrzą na człeka, jak na wilka.

MATKA. No, no, nie rozpaczaj. Każdy wie, tu nie rządysz ty, ani ja, jeno on — on gazda.

TEREŚKA. Ale jabym wołała nie patrzeć na to jego gazdowanie... Mój Boże! tyle ludzi idzie w świat — czemużby i ja nie mogła iść... (po chwili). Jeno mi żal was, o was się boję...

MATKA (spozierając w okno). Ho, moje dziecko, ciężka tu moja dola samej przy nim ostać. Nieboszczyk ociec strasznie go rad widział — a na śmiertelnej pościeli powiedział: „Matka! ten chłopiec, to twój grób“. Tak go dobrze poznał...

TEREŚKA. A w odpust stoję w kościele — Sobek siedział, jak zwykle, z tą wielką książką, przy ołtarzu w tercyarskiej ławie. A za mną szep-tają parobcy: „Widzisz Skomłę, powiedziałbyś, święty, a ka jaki dyabeł, to w nim siedzi“. Nie wiem, czy umyślnie mówili, żebym ja słyszała, ale tak mi zaraz ogień uderzył na gębę, żem się obejrzeć nie mogła, a potem miejsca w tłumie znaleźć... I tak na każdym kroku. Lepiej na służbę iść, jak patrzeć na jego robotę.

MATKA (wybiera ziemniaki z putni i wkłada do garnka na trójnogu).

TEREŚKA. Może już dość tych grul?

MATKA. Jeszcze ze dwie, ze trzy...

TEREŚKA. Abo i teraz z tym podziałem — wszczynaj piekło — nie wiedzieć poci i na co?! Przecie...

MATKA (spojrzawszy w okno, szybko przerywa).
Cit! Cit!

Scena II.

MATKA, TEREŚKA, SOBEK, KUBA, JÓZEK.

SOBEK (od proga). Bójcie się biedy, jeszcze świecicie?! — teli dzień... Naftę żebyś co jarmark litrami woził...

MATKA. No, no, na polu dzień -- w izbie dopiero się rozwidnia.

TEREŚKA (wstaje, dmucha kaganek i krząta się po izbie).

SOBEK (rzuca kapelusz na ławę). Nic nie szcędzicie — człek żeby jeno robił, a kupował...

MATKA (po chwili). Zoraliście?

SOBEK. Zorali i posiali...

JÓZEK (zapala fajkę od główki przy piecu). Grzędów ani słyhu, dychu...

KUBA (siada na ławie i napycha fajkę). Ba, ledwie ptak obleciał...

SOBEK (siadając przy stole). A i kości poszło ze dwa worki...

MATKA. Jaktó? toś i kości weprał w to płonisko?

SOBEK. Ba — cóż se myślicie, jak Grzęda wjedzie z pługiem, zapłaci większe koszta uprawy.

MATKA. Jaktó? toś po kępy zorał?

SOBEK. Ne ba jakoz! darmo dam ludziom zeżryć moją pracę?!

TERESKA. Panie, ratuj...

MATKA. Sobek, ty chyba wstydu nie masz...

SOBEK. Je, nie mielcie ozorami, ba dajcie śniadanie.

TEREŚKA. Grule dopiero zwierają.

SOBEK. Kiz dyabli!

MATKA. Sobek, nie dyabłuj — bo i my za nocy wstały i co dnia o świcie.

SOBEK. Ale was nigdzie nie znać — jeno się kurtwasicie w tej chałupie. (Po chwili). Może moskal macie?

MATKA. Jest.

SOBEK. Dajcie chłopom.

MATKA (wchodzi do komory i wynosi owsiany placek).

SOBEK (bierze od niej, łamie na pół i podaje pachółkom). Weźcie, a siądźcie na konie i jedźcie tam za ugory, na zadnią łąkę. Konie uwiążcie na powrozach, sami wleźcie w smreczki

i dajcie poziór. Jakby co, dacie znać. A weźcie sobie kłonicę...

JÓZEK. Rozumie się — dziś to na sucho nie ujdzie...
(Wychodzą).

SOBEK. Aha, stójcie no... (Wychodzi za nimi).

Scena III.

TEREŚKA, MATKA.

TEREŚKA. Słyszycie mamó, na co się zanosi?

MATKA. O, Boże, ka się taki człek wziął?

TEREŚKA. O jedno was jeno mamó proszę — nie mieszajcie się do niczego — miejcie rozum mamó... Niech się bije, niech prawuje, niech kark skręci, ale sam...

MATKA (przy drzwiach). Cit!

Scena IV.

MATKA, TEREŚKA, SOBEK.

SOBEK (wchodzi, rzuca ciekawy wzrok na Tereškę, siada przy stole, wyciąga z szuflady papiery i przegląda).

MATKA i TEREŚKA (krzątają się po izbie).

MATKA (z żalem). Ej, Sobek — ciebie już chyba co ofukło, że też jednego roku niema bez procesów...

SOBEK (cynicznie). A dużoście ich przegrali?

MATKA. Ej ta nie przegrali — ale klątwy, a posądzania...

TEREŚKA. Człek nie śmie ludziom w oczy spojrzeć...

SOBEK. Jeno ty siedź cicho! Jaškowi w oczy patrzeć możesz — to ci wystarczy...

TEREŚKA. O, mój kochany bracie — ja tobie nie wyczytuję, komu ty ta w oczy patrzysz...

SOBEK (przerywając). Jak kto niema rozumu, nie zna przepisów, nie zna paragrafów, trzeba go nauczyć...

MATKA. Nauczyć, ale bez krzywdy ludzkiej i obrazy boskiej.

SOBEK. Nie wódcieź mnie na pokuszenie. Telo wam gadam. Z torbamibyście poszły, żeby nie człek. Wam się dobrze gada, ale ja muszę o wszystkim pamiętać. Wy jeno wiecie, że macie dach nad głową i co jeść w chałupie. Ale, jak przyjdą podatki, jak trza kupić sól, naftę, przyodzievek — jak przyjdzie przednówek, wy o tem nie wiecie. O tem jeno Sobek wie. Ho, wtedy Sobuś dobry... Wy nie pamiętacie, wiele długu ostawił nieboszczyk ociec, bo też jeno ludzkiej krzywdy pilnował a ty człeku teraz spłacaj, haruj, jak ten koń... O tem wy nie pomyslicie...

MATKA. O, Sobek, brzydaku — dyć tu i my do góry brzuchem nie leżymy...

SOBEK. Ale co tu pleść o ludzkiej krzywdzie. Ludzie się nie upomną o waszą krzywdę, zabrałiby, coby się dało... Gromadzie zachciało się podziałów — niech dzielą — ale od mojego im wara!... Ja im pokażę...

TEREŚKA. A przy podziale stałeś, jak mruk, a teraz piekło wszczynasz.

SOBEK. Cit! — to moja rzecz, moja w tem głowa.

TEREŚKA. Ja wiem, że w tem twoja głowa. Dlategoś tak prędko porwał tamto stajanie na zadzie i zaintabulował na siebie...

SOBEK. Do trzysta pieronów! wiele razy to już powtarzałem, że mi się rozchodziło o las. Wam się dobrze siedzi w zimie w opalonej izbie, ale ja marznąć muszę po pańskich lasach, prosić o każdy kłacz i jeszcze lepiej zapłacić.

TEREŚKA. Tak, aleś zaintabulował na siebie!?

SOBEK (ma wybuchnąć).

MATKA. Sobek! ty się nie unos! Tereśka jak mówi, mówi to, co ją boli. Jak mierzyli — tyś milczał. Potem dawali ci stajanie obok naszego, mogłeś brać bez kłopotu. A kiedyś wziął na zadzie z lasem, to teraz nie rób bójek, ba pozwól, niech sobie Grzędowie wezmą to przy naszym.

SOBEK. Ta na miłość Boską — matko! — ta czy ja
bronię komu brać koło naszego, ale oni się
wpakowali w nasz grunt. Cały jeden zagon za-
bierają. To złodziejstwo, rozbój w biały dzień.

TEREŚKA. Ale, Sobek, nie udajże głupiego — ty
wiesz dobrze, czemu zabierają.

SOBEK. Sto-ś ty okowanych zjadła...

Ty mię będziesz rozumu uczyła — ty sekutnico —
skupczyłaś się z Grzędami i temu pysk roz-
działasz. Ale niedoczekanie twoje! wyrodku...

MATKA. No — no — Sobek — no...

SOBEK. Neba cóż mie mierzi — tak, jak kieby
ja głupi był. Grzęda kierował pomiarem, a miał
apetyt na kawałek wyrobionego pola. Ale jemu
ten kawałek karkiem wylezie. On myśli, że
mną będzie tak grał, jak z nieboszczykiem
ojcem.

TEREŚKA. Tam przy pomiarze sam Grzęda nie
był — a potem onby ci tam po próżnicy nie
lazł w twoje stajanie.

SOBEK. Ho, ja wiem, ty Grzędów bronić mu-
sisz. Jakżeby inaczej było. Przyszłego teścia
trzeba bronić zawczasu. Tak ci przecie naka-
zuje twoje przekłete kochanie.

TEREŚKA. Sobek, ja w twoje kochania nie wglą-
dam. Jużem ci to nieraz powiedziała...

SOBEK. Ale ty nie wiesz, wrahu przeklęty, że stary Grzęda procesami ojca wpędził w dług. Ty nie wiesz, siostrzyczko, że długi ojca wtrąciły wcześniej w grób... Ty tego nie wiesz, wyrodna córko nieszczęsnego ojca...

TEREŚKA. Sobek! ktoby cię nie znał, toby cię kupił. Ty mię na takie słowa nie bierz. Ty nie udawaj dobrego syna... Mnie tu nie rozchodzi się o starego Grzędę...

SOBEK (przerywając). Ja wiem, że o młodego...

TEREŚKA. Ale o sumienie...

SOBEK (ironicznie). Sumienie? a jakże — ty głupia kozo...

TEREŚKA. A śmiesz ty zaprzeczyć, żeś się nie worywał w pastwiska?

SOBEK. Te-reś-ka! ty pysk trzymaj za zębami.

TEREŚKA. Uderz się w piersi...

SOBEK. Tereśka, ty za swój pysk jeszcze do kryminału pójdziesz. Tyś nie widziała, ani ty świadków na to nie masz. To sobie dobrze zapamiętaj. To zapamiętaj se dobrze. (Chodzi). To ci mi siostra — ho, ho, kochana siostra... A dajmy na to, żebym kiedy urwał jaką skibę z pastwiska — to tu niejeden urwał, a nikomu nie odbierają, jeno mnie i to cały zagon. Bo nikt niema takiego stróża i wroga w chałupie i to w rodzonej siostrze. Wiem — tobie nie o za-

gon chodzi, bo ty długów nie spłacasz. Łapiłaś się Jaśka, myślisz, że tu rozkazywać będziesz — ho, ho, niedoczekanie twoje. Ciebie jeszcze wszy zjedzą z tym Jaśkiem.

MATKA. No — no — Sobek...

SOBEK. Człeka dyabli porwać mogą — żeby rodzona siostra na miłość boską... Taki wrah... Ale wiedz-se moja kochana, ty ze swoim pyskiem daleko nie zajedziesz. Dobrze se zapamiętaj, że nie ociec przystał do matki, ale matka tu przystała. I to se zapamiętaj, żem te dźwierzę niedawno nowiutkie przyprawił — ale za swój pysk razem z niemi w pole wypadniesz. Bo tu, ja gazda! do trzysta pieronów!

TEREŚKA (z płaczem wysuwa się do sieni).

MATKA (do Sobka). Ho, ty — ty — ty — ty — kaś się taki wziął!... (Wychodzi za Terešką).

SOBEK (chodzi wielkimi krokami po izbie, wreszcie rzuca się z głębokiem westchnieniem na ławę).

Scena V.

SOBEK, MATKA.

MATKA (wchodzi). Ho, Boże, dość ja się tu nadarła tych progów piętami. Mi też nigdy ociec tego nie wypomniał...

SOBEK. Ja wam też tego nie wymawiam — ale mię złość bierze, że własna siostra taki wrah...

MATKA (z żalem). Przecież tak ją, jak i ciebie za pasem nosiła...

SOBEK. Właśnie, właśnie, a teraz z niej jakby najgorszy niepilec... (Po chwili) Boże święty! — przecie to u kogo innego brat ze siostrą żyją — jedno za drugim w ogieńby skoczyło, co jeno które zdole, garnie ku chałupie, jak może i gdzie może, a u nas zawsze na opak. Ja tak — wy z nią tak — ja ku chałupie — ona od chałupy... Ho, ludzie na świecie... Człek się narobi, ledwo kości czuje, a tu taka wdzięczność. Choćbyś po łokcie ręce zdarł — nie poradzisz. Ociec ka jaki dług na mnie wtrzepał... No nie to — spłacam, co mogę... Jeszcze tych parę stówek i jużby był koniec. Ale co zrobisz sam... I polam przykupił, bo człękby chciał, żeby to gospodarstwo jako tako wyglądało i żeby na starość kija nie chycić... (płaczliwym głosem) Ale co zrobisz sam, jak ten członek... Nikt ci nie pomoże — nikt, ni rodna matka, ni rodzona siostra — nikt — nikt — hyrem Boga — nikt...

MATKA. No — no — nie lamentuj — nie. Ty tu i tak nie zginiesz. Dług byłbyś po nieboszczyku dawno spłacił, kieby ci się pół nie bażyło.

Ale chciałbyś wszystko skupić, pierwszy być we wsi.

SOBEK. Ho, dyć wyście matka, wyście matka. Wybyście pomogli — wy nie pamiętacie, co się napłakał nieboszczyk ociec na starego Grzędę. Ho, wy nie pamiętacie.

MATKA. Je dyć ta płakał, bo płakał...

SOBEK. Tak — tak — krwawemi łzami płakał — a wy teraz nic. Zamiast mnie pomódz, żeby pomścić ojca — to wy nic. Ho, wyście matka i wyście wdowa, co dba o swoje sieroty. Sami wiecie, cośmy się hań na tem polu narobili — boście płonisko dostali na wiano. Dopiero trza było naszej pracy. I wyście się dość kamieni co wiesnę nazbierali. Jeszcze wam paznokcie nie odrosły. Teraz nasza praca idzie na marne. Grzędy przychodzą do gotowego, (żywiej) śmieją się z naszej krwawej pracy. Nie — tego nie zniosę — na to nie pozwolę, pókim żyw, pokiela mię ta święta ziemia nosi... (tupie nogami). Jakem Skomla! nie pozwolę... Choćbym się miał zastawić, choćbym miał pół ojcowizny stracić — choćbym miał w kryminale zgnić — to nie ustąpię. Ho, ja ojca pomścić muszę... I to mnie najbardziej boli, że wy tej krzywdy nie widzicie, a ja mam związane ręce. Teraz zacnie się bitka, proces... Osobą prawną

jesteście wy matko! — bo wyście ten grunt nie-
szczęsny dostali na wiano. Będą was włóczyć
od Judasza do Kajfasza — podchwytywać za
słowa...

MATKA. E, moje dziecko — miałaby ja na starość
włóczyć się po sądach...

SOBEK (przerywając). To się nie włózcicie, ale prze-
cie nie chcecie krzywdzić mnie. Przecie i ja dość
swego potu włożył w topłonisko. Niemyślicie krzy-
wdzić choćby Tereśki. Nie chcecie sami włóczyć
się po sądach, upominać się o krzywdę dzieci —
to pozwólcie mnie — dajcie mnie moc i prawo.
Rozwiążcie mi ręce, a ja sobie rady dam. Ho, ja
se rady dam. Niechby mi hań kto wlaźł na
ojcowiznę, dowiedziałby się, skąd mu zęby
i nogi wyrosły.

MATKA (błagającym głosem). Sobek! nieboszczyk
ocieć całą ojcowiznę tobie zapisał.

SOBEK. Tak i nikt z niej grudki ziemi nie śmie
ruszyć.

MATKA. A to stajanie, co z pomiaru przypadło,
choć to matkowizna — też jeś na siebie zain-
tabulował.

SOBEK. Tak, ale wy nie baczycie, wiele ja długu
z ojcowizny spłacił...

MATKA. A matkowizna przecie święcie patrzy się
Tereśce.

SOBEK. Matko! tu się nie rozchodzi o to, co się komu patrzy. Ja tu dwóch gardeł nie mam, ja tu wszystkiego nie zjem. Ale tu się rozchodzi o naszą wspólną krzywdę. Nie chcecie wy się upominać o nią — boicie się sądu — pozwólcie mnie. Ja mam nawet prawo tego od was żądać, bo jestem najstarszy syn. Na mnie ciąży odpowiedzialność za spuściznę ojca i za cały Skomłów ród.

MATKA (z prośbą). Sobek!...

SOBEK. Podpiszcie się!...

MATKA. Sobek!...

SOBEK. Dajcie mi moc!

MATKA. Sobuś!...

SOBEK. Przecieżem wasz syn, a Tereścyn brat.

Scena VI.

MATKA, SOBEK, JASIEK.

JASIEK (wchodzi). Pochwalony!

MATKA. Na wieki wieków. Witajże Jasiu...

JASIEK. Bóg zapłać.

MATKA. E siadźże...

JASIEK (z westchnieniem). Je dyć siednę... (siada na ławie, napycha fajkę i patrzy w dyle zamysłony).

SOBEK (milczy i gmera w papierach na stole).

MATKA (dokłada patyków do ognia; milczenie).
JASIEK (po chwili). Wiecie co, Sobek, ja z wami
nigdy na złe słowo nie przyszedł. I do mnie
chyba urazy nie macie.

SOBEK (milczy).

JASIEK. Pogwarzmy raz ze sobą po ludzku. Wie-
cie wy Sobek, po co ja tu dziś przyszedł?

SOBEK. Nie wiem, ale się trochę domyślam.

JASIEK. Ja w to nie wchodzę, wiecie, kto winien;
czy winni ci, co mierzali, czy mój ojciec, czyś-
cie ta wy zawinili, dość, że kłopot jest. A nie-
potrzebnie.

MATKA (z westchnieniem). He ba jest...

JASIEK. A niepotrzebnie... Przecie szkoda tak
was, jak i nas. No wyjechaliście wy, zorali
i posiali — zaś wyjedzie mój ojciec, znowu zo-
rze i posieje — i znowu wy wyjedziecie i znowu
zorze... I tak dalej tę ziemię będziecie prze-
wracali, aż jeden drugiemu skręci kark.

MATKA. Ho dyć ono się tak dzieje — tak — moje
dziecko...

JASIEK. I do czego to taka robota? (zapala fajkę).

SOBEK. Spytaj się ty, Jasiu, swego ojca.

JASIEK. Przecie szkoda i czasu i tej biednej ziemi
i tego ziarnka, co je po próżnicy tam wpie-
rzecie...

MATKA. E także tyż tak moje dziecko...

JASIEK. Wdacie się w proces — sami adwokaci telo wezmą, że ten skrawek i za sto lat nie wróci.

SOBEK. O to się ty nie troszcz — ty wiesz, ja bez adwokatów nie jedną już sprawę wygrał...

JASIEK. O tem, żebyście się z ojcem pogodzili, ja ani nie myślę.

SOBEK. Jasiu, na wspomnienie twego ojca te belki wkoło się trzęsą.

JASIEK. O tem też nie myślę. Ale mam inną radę... (po chwili) Wiecie wy co, Sobek, a raczej wy, chresnymatko. (Patrzy na nią). Dajcie wy Tereśce to stajanie, a mnie ociec da to obok, i kłopot skończony.

MATKA (patrzy na Sobka).

SOBEK (uśmiecha się cynicznie).

JASIEK. Jeśli to mówię, to jeno dla świętego spokoju. Ja, czy tak czy siak, z Terešką się ożenię. Mnie się tu o grunt nie ozchodzi. Ja przy moich dziesięciu palcach i siekierze, telo gdziebądź we świecie zarobię, że z Terešką wyżyjemy. Ale jak powiadam, ozchodzi mi się o spokój, tak u nas, jak u was. I daję sposób wyjścia z kłopotu...

SOBEK. Wiesz co ty, Jasiu, tyś jest chłop do rzeczy, tego ci zarzucić nie mogę. Ale ja ci

powiem, Tereśka jeszcze ma czas, potem ja sobie nigdy wyobrazić nie mogę, abym kiedykolwiek w jakie powinowactwa wchodził z Grzędami. Ociecby się w grobie siedem razy obrócił z rozpacz. Po trzeciej, ja ci tu powiem otwarcie, Tereśka tu dostanie nie jeno to stajanko, ale jej dam i to na zadzie, i z ojcowizny jej co ustąpię, i krowę ze stajni wyprowadzę, ale ja muszę wiedzieć, za kogo idzie...

JASIEK (wstaje).

SOBEK. Ja tobie nie chcę ubliżyć, tyś cieśla, jakiego szukać na całym Podhalu, ale cieśla cieśla, jak znajdzie robotę, jak dadzą ludzie, to dobrze, jak nie, to kłapaj zębami. Tobie się to pięknie gada, że o grunt nie dbasz, ale u mnie ten chłop, co ma grunt. Co mi to za chłop bez gruntu...

MATKA. No — no — Sobek, ty tu tego gruntu teln masz, a kiebyś nie zarobił na wozach, nie zarobił w kuźni, tobyś dobrze piszczał na przednowku.

SOBEK. Tak, ale ja gazda o miejscu, ja mam grunt, jak robię wóz, abo kuję w kuźni, to wtedy, kiedy mi się chce. I ludzie sami do mnie przyjdą i pięknie poproszą, żebym im co zrobił... I ja chcę mieć szwagra o miejscu, żeby

za robotą światami nie błądził, żeby on ludziom mógł dać robotę. Rozumiesz teraz, Jasiu?...

JASIEK (pociąga silnie z fajki). Ja rozumiem...

SOBEK. Nie myśl se, jakobym ci chciał ubliżać. Twój ociec też gazda o miejscu, a i tego gruntu też macie, ale was na to jest trzech, a i siostra, choć wydana, jeszcze swojej części nie wzięła. A długu ta i u was nie brak. Powiadasz, że ci ociec da to koło naszego. Ho! bracie, mało ty jeszcze swojego ojca znasz. Ociec twój nic z rąk nie wypuści, chyba wtedy, jak mu na pościeli posinieją — jak mu ręce na piersiach złożą, wtedy może co wyrwiesz. Pierwej nie, to ja go znam.

JASIEK. Wiecie co, Sobek, ja tu na przegwarki nie przyszedł. Inny brat ucieszyłby się z tego. Tak myślałem, ale z wami jeszcze nikt do ładu nie doszedł...

SOBEK. No, wiesz co, Jasiu, żeby nikt nie powiedział, że jestem psem dla swojej siostry, przynieś mi na piśmie, czarne na białem, że ci ociec naiście ten kawałek odstąpi, wtedy pogadamy.

JASIEK (wzdycha). Myślałem, że wam na rozum i do serca przegadam.

SOBEK. Przegadaj ty swojemu ojcu do serca. Tyś mądry, ale i ja nie głupi... Zresztą, słuchaj Ja-

siek, ja chłop nie uparty, nawet na piśmie nie potrzebujesz nosić — zrób ty ze swoim ojcem, żeby teraz nie wjeżdżał w mój grunt, to będzie najlepszym dowodem, że się zgadza na twoje gadanie, a wtedy zobaczymy...

JASIEK (odwracając się od wyjścia). Sobek, mam jeszcze jedną prośbę do was. Nie zacinajcie wy mną w oczy Tereśce, bo ona wam nic nie winna.

SOBEK. Aha, bratku, to tobie się o to właściwie rozchodzi.

JASIEK (stanowczo). Tak i o to...

SOBEK (zbliża się do Jaśka). Czegoś tego naprzód nie powiedział...

JASIEK. A i ja wam nigdy w drogę nie zaszedł (wychodzi).

SOBEK. Tobys był pierwaj temi drzwiami wyleciał (zacina drzwi za Jaśkiem). Psie grzędowe plemię...

Scena VII.

SOBEK, MATKA.

SOBEK. No, widzieliście, na jakie się to sposoby biorą. Ho, ho, wyście chytry, ale i ja nie głupi. Mnie brać na spytki. Niedoczekanie wasze. Psie syny... Ale jaki stary, tacy i młodzi, jeden w drugiego. Jabłko niedaleko pada od jabłoni.

MATKA. Jaśka ta ludzie poważają...

SOBEK. Temu, że w pysku miękki, za to, jak ten gad fałszywy!

MATKA. Ty byś i w źródlanej wodzie dopatrzył się żółci...

SOBEK. Tak, tak, matko, ja ludzi znam... Wy macie umysł, jak rzeszoto — a serce, jak stara rzepa, cobądź w nie wsiąknie... Ale wy tu uwidzicie, wy tu przekonacie się, jak on mówił prawdę. Ho — przekonacie się zaraz. Ja starego znam. On mu pole puści. Wspomniecie moje słowo, stary jeszcze dziś z pługiem wyjedzie. A wy musicie iść zaprzeczyć, a potem skargę wnieść o naruszenie w posiadaniu. Musicie wy sami, bo wy jesteście właścicielką — a jak nie, to się podpiszcie mnie, to ja was wyręczę. Jedno z dwojga — inaczej „na mój dusiu“, (staje przed matką i bije się w piersi) „na mój sto dusiu“ prasnę całe gospodarstwo — niech gazduje pies!... Pójdziemy wszyscy w świat — a tu niech gazduje pies!... Tak — wy się o to nie troszczy-cie, bo wy się na tamten zabieracie świat, ale se popamiętajcie: nieboszczyk ociec w sądzie rzucił się do nóg staremu Grzędzie, aby mu połowę kosztów procesu opuścił. A Grzęda nic — adwokatowi sprzedał koszta, a adwokat złupił, zdarł, co jeno mógł... Nie miał litości Grzęda

nad moim ojcem i ociec klątwe rzucił na starego Grzędę i na cały jego ród. To sobie pamiętajcie! Ho, wy tam staniecie przed ojcem na tamtym świecie...

MATKA. Miłujcie i nieprzyjacioły wasze — uczył pan...

SOBEK (przerywając). Tak — bo wy się kładzicie w grób — ale ja ostać muszę tu!

MATKA (z żalem). Ty nie rachuj moich dni...

SOBEK. Wy się kładzicie w grób... Wy staniecie przed ojcem... Wy staniecie na sądzie boskim, a ja was będę błogosławił... Ho — ho — ja was będę błogosławił — ja was będę błogosławił... (powtarza i chodzi po izbie).

MATCE (z oczu kapią łzy).

Scena VIII.

MATKA, SOBEK, PAŃSKA KASIA (tęga baba około 40 lat).

PAŃSKA KASIA (wchodzi). Pochwalony Jezus Chrystus.

SOBEK (powtarza jeszcze dawne słowa). Ja was będę błogosławił. (Do lichwiarki) Na wieki. (Do matki, przyciszonym głosem) Ja was będę błogosławił...

P. KASIA (siada na ławie pod oknami i ciekawie spoziera to na Sobka, to na matkę; po chwili):
Chciałam z wami Sobek pomówić, czy się biercie tego lata na odpust?

SOBEK. Na jaki odpust?

P. KASIA. O jacyście to — a na świętą Kalwaryę.

SOBEK. Na to jeszcze czasu dość...

P. KASIA. Tak się to mówi, a czas leci... Potem na łapu capu, to jeno na parafię wstyd, bo ani porządnej kompanii, ani nikt sobie nic na drogę nie zładzi...

SOBEK. A zresztą pozbierasz się tu, kie ja tu taki krzyż pański przechodzę z Grzędami.

P. KASIA. E, dyć tak. Była ja haw i u Grzędów, bo chciałabym se zładzić jaki grajcar na drogę, a oni mi jeszcze tegorocznej lichwy nie dali... Do tego roku dawali mi koniczynę, ale jak przyszedł stary do mnie, jak zaczął labiedzić, że mu się koniczyna nie rodzi, tak jem im zamieniła na pieniężną lichwę i to niedużą, bo barz pytał, jeno po dziesiątce od stówki. No i tego wyrwać nie można... Ale haw dziś z nimi niema rady — piekło tele niech Bóg zachowa — Jasiek ze starą z jednej strony, te dwa opryszki z ojcem z drugiej strony... Posądzań, głądźby, obrazy boskiej telo, aż uszy bołą.

SOBEK. Matko, słyszycie! matko!

P. KASIA. A stary jeno chodzi z kąta w kąt, a teremtetuje, a posądza... Zaprzęgają konie, biorą pług, brony...

SOBEK. Matko, słyszycie — tu macie Jańskową prawdę...

P. KASIA (zerkając sprytnie na Sobka). A ci dwaj tak skaczą, a odgrażają się: „My silni, my silni, my się nie damy!“ a klną, a psioczą do krwi, do bez... Aż obejście jęczy...

SOBEK. Tu go macie, dadzą ci grunt...

P. KASIA. Juzem wytrzymać nie mogła, telo obrazy boskiej i poszłam z chałupy.

SOBEK (z tajoną radością). Tu macie jego prawdę. Przyszedł tu, chciał, żeby dać grunt, że będzie brał Tereškę.

P. KASIA. Tereškę... Ho — ho — tak — tak, a jakże — czego was Boże broń, ani se myrkać o tem nie dajcie. To fałszywe, jak koty, jeden w drugiego.

MATKA. Jaśka ta przecie ludzie chwałą...

P. KASIA. Co?! dyć to on ze wszystkich najgorszy — heretyk — w Pana Boga nie wierzy ani krzty — a ozór, jak szufla. Niech was Bóg zachowa — tyleżbyście dziecko utopili... Ani se myrkać nie dajcie... (Wchodzi Tereška).

Scena IX.

CIŻ SAMI, TEREŚKA.

SOBEK (do Tereški). Tak, dziewczko, chłopa ci się zachciewa... Ho — ho — ty jeno do Jaśka chodź na skargę, dobrze wyjdiesz. (Słychać świst za sceną, Sobek chwyta za kapelusz). Matko! wy teraz wiecie, gdzie macie iść, wy wiecie, gdzie wasze psie prawo. (Słychać drugi świst; we drzwiach) Bo ja was będę błogosławił. (Wypada).

P. KASIA (wstaje). No wicie — dziś tu niema rady o odpuście. Z panem Bogiem ostańcie... (Wychodzi).

TEREŚKA. Tfu! tfu! plucho. (Zacina drzwi). Jej się rozchodzi o odpust, jak mnie o łośński śnieg. Dobrze, że ma znowu zacem łązić po chałupach...

Scena X.

MATKA, TEREŚKA.

MATKA (staje na środku, zawahana, potem zmierzra ku drzwiom).

TEREŚKA (zachodzi jej drogę). Ho, moja mamó, moja mamó... (Wpadają sobie w objęcia).

MATKA. Moje dziecko pokochane. (Ściskają się, w oczach łzy).

TEREŚKA. Jasiak nic z ojcem poradzić nie mógł — zaciął się ociec...

MATKA. Puść mnie Tereś...

TEREŚKA. Nie chodźcie mamu, ja was o to proszę — niech się bije sam — wy palca do tego nie przykładajcie — mamu — mamu...

MATKA. O, Boże — dyć go jeszcze utłuką. (Wyrwa się Tereśce i wychodzi).

TEREŚKA (pada z płaczem na ławę pod oknami).

Scena XI.

TEREŚKA, JASIEK.

JASIEK (wchodzi, staje przy drzwiach i patrzy na Tereśkę; po chwili). Tereśka!

TEREŚKA (nic, dysze).

JASIEK (zbliża się ku niej). Tereś!

TEREŚKA (nic).

(Za sceną, zdala) Waruj, zabij... Złodzieje...

JASIEK. Tereśka! je między rozum. (Przypada do niej).

TEREŚKA (wybuchu głośnym płaczem, wyrwa się i wypada w pole).

JASIEK (załamuje ręce). No, widzieliście... (wypada).

Scena XII.

SOBEK, MATKA.

SOBEK (za sceną, coraz głośniej), Złodzieje... Zjadacie, hycle... (We drzwiach, koszula pod szyją rozerwana). Ja wam pokażę, jak ludzkie dobro szanować... Zdechliny... (leci do okna, pehnie pięścią w środek, okno się otwiera, strąca wazoniki z kwiatami). Chłopy, co nóg po konie! (Przez okno). Jedziemy w miasto... (Wraca do drzwi). Matko! chodźcie prędzej... Ubierajcie się — jedziemy w miasto... Jedziemy do notara — musicie zrobić podpis — musicie mi dać moc, żebym tych drabów nauczył rozumu...

MATKA (we drzwiach, z rozwartemi rękoma). Sobek!

SOBEK. Ubierajcie się.

MATKA. Sobuś!

SOBEK. Potem ja wnoszę skargę. Jedną o pobicie — drugą o naruszenie w posiadaniu.

MATKA. Sobuś! dziecko!

SOBEK. Ja im policzę za mój konicz, za moje kości...

MATKA. Sobek — dziecko — a Tereśka!

SOBEK. Prędzej! (Chwyta matkę za rękę, ona upada na kolana). Przecie mnie nie myślicie wsadzać do kryminału. (Tupie nogami). Wyście zdaleka stali — ja zasprzeczał — a ja nie je-

stem właścicielem! Grzęda ma teraz prawo —
on mnie teraz zamknie do kryminału!

MATKA (ze łzami). Synu, dziecko — a przysięgnij...

SOBEK (tupie nogami). Wy mię wsadzicie do kryminału!...

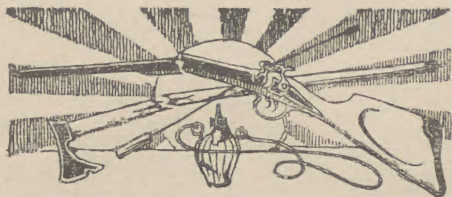
MATKA. Złóż palce na krzyż, że nie skrzywdzisz siostry...

SOBEK (z wściekłością, składa palce na kluczki i trzęsie pięściami matce przed oczyma). Przysięgam na krzyż, na wszystkie świętości, na co jeno chcecie — jeno dalej, bo mię porwą dyabli (wypada).

MATKA (pada na ziemię z twarzą w dłoniach).

(Kurtyna spada).

Koniec aktu pierwszego.



AKT II.



AKT II.

Obejście Skomli. Chałupa frontem do widzów. Widać dwa okna, sień i część izby drugiej — reszta kryje się za kulisy. Obok, po lewej stronie od widzów stodoła, szczytem do publiczności zwrócona. W szczycie stodoły jabłoń. Drzwi do stodoły z boku, od podwórza zamknięte na kłódkę. Pod oknami przyzba, na obejściu gnat, w nim wcięta siekiera. Obok stolica kołodziejska, w niej rozpoczęte nowe koło (głowa z kilku sprychami). Po ziemi porzucone sprychy i narzędzia kołodziejskie. W głębi przezierają wzgórza, tu i ówdzie pokryte kępami jałowców i smreczków. Przez obejście prowadzi wiejska droga.

Scena I.

Śródwieczorz. Słonko ukośnie pada na obejście. Zdała dolatuje turlikanie owiec i zawodzenie na piszczalce. Po chwili wchodzi z kosami pacholcy Skomli, Kuba i Józef.

KUBA (przy wchodzie) Tfu! dyabli nadali taką robotę...

JÓZEK. Mógłbyś hań kosić do wieczora...

KUBA. Tfu!

JÓZEK. Przyniósłby ci poledninę pies.

KUDA. Ba pies! (kosi wieszają na kołku pod strzechą).

KUBA (dobywa się do drzwi). Kiż dyabli, wymarli przy tej chałupie?

JÓZEK. Bees tu jadł...

KUBA. Dyabli wzięli...

JÓZEK. Kieby choć znaleźć klucz (szukają klucza koło progę, po węglach, koło stodoły).

JÓZEK (przez szparę spojierając do stodoły). A gaździnę wepchnął tu...

KUBA (również spojierając). Fajkę on dyabłów zjadł.

Scena II.

KUBA, JÓZEK, PAŃSKA KASIA.

JÓZEK (szuka dalej klucza tu i ówdzie).

KUBA (siada na stolicy, wyjmuję i zapala fajkę, cmoka często i silnie, pozierając na drogę).
Oho — gazeta idzie...

PAŃSKA KASIA (wchodząc). Pochwalony Jezus Chrystus...

KUBA (udaje, że nie widzi i nie słyszy). Tfu! (silnie).

P. KASIA (po raz drugi). Pochwalony Jezus Chrystus!

JÓZEK. Na wieki wieków.

P. KASIA. Jakoś wam chłopcy niesporo pochwalić Pana Boga.

JÓZEK. Przecie mówię na wieki wieków.

P. KASIA. Dyć ta mówisz, bo mówisz.

KUBA. Tfu!

P. KASIA. A ty co tak spluwasz?

KUBA. Dyabli wam do tego...

P. KASIA. E, chłopcze, nie dyabłuj, bo kara...

KUBA. Je nie mierzijcie mię...

P. KASIA (siadając na przyzbę). Wielka kara na grzeszników!

KUBA (pociąga silnie fajkę i jeszcze silniej spluwa). Tfu!

P. KASIA. Była ja haw na Kalwaryi...

KUBA. Tfu!

JÓZEK. Bo macie czas chodzić po kalwaryjach, ale, żeby was tak wygnał z kosą i kazał od rana do tela mleć łacnym brzuchem po zagonie — inaczejbyście gadali...

P. KASIA. Ho, moje dziecko — i ja za młodu nie próżnowała.

KUBA. Tfu!

JÓZEK. Ale teraz na was ludzie robią...

P. KASIA. Mocny święty...

JÓZEK. Nie potrzebujecie ani siać, ani orać, ani

bić się, ani Pana Boga obrażać, a dudki se wam płyną, jako woda rzeką.

P. KASIA. Dyć też to ludzi w oczy kole...

JÓZEK. Co tam kole, kiedy wam się każdy kłania...

P. KASIA. Bo ludzie nie wiedzą, jak ja krwawo za młodu u panów pracowała.

KUBA. Tfu!

P. KASIA. Alem zawsze Pana Boga prosiła, a oszczędzała...

KUBA. Tfu!

P. KASIA. (Rzuca wściekły wzrok na Kubę).

KUBA. (Odwraca głowę, cmoka silnie z fajki, błędząc oczami po dachu stodoły).

P. KASIA (po chwili). Mocny święty... Człękby se chciał tych parę groszy choć na pogrzeb uzbierać, ale ludzie nie dadzą, zazdroszczą biednej sierocie.

JÓZEK. Ciotko — tak gazdę, jak i pachółka gróbarz łopata przyłoży...

P. KASIA. Dyć tak — ale jak ksiądz nie pokropi, dzwony nie uderzą, to człeka nie przymierzając, jak to bydłę w ziem kładą.

JÓZEK. Wielkie rzeczy...

P. KASIA. Młodym to się równo widzi...

(Milczenie).

P. KASIA (po chwili). A karzysz wasi?

KUBA (obojętnie). Dyabli wiedzą...

P. KASIA. Słuchaj ty! jak będziesz dyablami suł,
ja z tobą nie gadam — ty grześniku...

KUBA. Wyście ta nie grześnik — to się dyabłów
nie bójcie — was ta dyabli nie porwią...

P. KASIA. Stulisz tę grzeszną gębę.

KUBA. Je nie mierzicie mię, bo na mój stodusiu
jeszcze wam prawdy nagadam, bo wy dobrze
wiecie kany nasi.

P. KASIA. O plugocu zajadły — przeciemy dopiero
ze świętej Kalwaryi doszła.

KUBA. Wy dobrze wiecie kan ta gazda.

P. KASIA. O dyable — Panie ratuj — krotny,
żeby ci ozór skołczał — ty weredo, kaś się
taki wziął... No widzieliście... Przecieśmy nad
ranem ledwie doszli — i trochę się zdrzym-
nęła, potem byłam na rannej mszy — teraz
zaś idę tu, bo przecie człek ciekawy, jak tu
z tym procesem wyszło. Przecie mnie to tro-
chę też musi obchodzić, bo tu i wasz gazda mi
trochę winien.

JÓZEK. Przecie wam ta ludzie już donieśli...

P. KASIA. Ba ludzie pletą, jak chcą, w oczy ina-
czej, a poza oczy... Mocny święty...

JÓZEK. Już wy tam wiecie o wszystkim...

P. KASIA. O jakiś to — co wiem — to wiem,
ale rada i tego i tego posłucham...

JÓZEK (ironicznie). A swoje pomysłu...

P. KASIA. A choćby...

JÓZEK. Dyć za to nic.

KUBA. Tfu!

P. KASIA. Wiem, o czym już wszyscy ludzie wiedzą, że po bitce matka się Sobkowi podpisała, że Sobek jako właściciel wniósł odrazu skargę o naruszenie w posiadaniu i o pobicie. Wiedziałam, że prawie na ten dzień, kiedyśmy wyruszali na świętą Kalwaryę, wypadła rozprawa w sądzie i Sobek temu z nami nie poszedł, a co dalej...

JÓZEK. A dalej, że o jakie dwa tygodnie idziemy zagon kosić...

P. KASIA. Naprawdę!? To chwała Bogu.

KUBA. Tfu!

JÓZEK (śmieje się). A rośnie hań na nim i koniczna wszeleniejaka i owies i orkisz i groch, wszystko w kupie, co kto woli...

KUBA (z uśmiechem do Józka). Będzie co kosą ująć...

P. KASIA. To chwała Bogu...

JÓZEK. Wczora wieczór przyszedł wyrok.

P. KASIA. No, wicie...

JÓZEK. A cieszcie się, bo i kosztów przyznali gaździe 140 srebra.

P. KASIA. To chwala Bogu, ale ta zaś cieszyć się niema z czego.

JÓZEK. Jak to nie — nie cieszyć wam się — wam się śmiać na calutkie gardło... Na wasz młyn woda płynie...

J. KASIA. E ty zawsze z figłami...

JÓZEK. Jakto z figłami? Grzęda od was pożyczyci pieniędzy na dobrą lichwę, gaździe zwróci kosztu procesu, a gazda wam odda znów z lichwą, bo winien i te same pieniądze, ino przez ręce przejdą, a swoje zrobią. Wy to nazywacie figłami?

KUBA. Tfu!

P. KASIA. Ale pono Grzędy rekurs wnoszą...

JÓZEK. A widzicie — wy tam wiecie...

P. KASIA. Ho, dyć haw o tem każdy gada.

JÓZEK. A widzicie...

P. KASIA. A i pono skarżą o krzywoprzysięstwo.

JÓZEK. Mało mnie to co obchodzi.

P. KASIA. Dyć za to nic, jeno ponoś stara przysięgała?

JÓZEK (obojętnie). A ponoś.

P. KASIA. I jakosi nie cudnie?

JÓZEK. Ja nie wiem — ponoć ją tam gazda zmusił — a zresztą mnie to mało co obchodzi.

P. KASIA. Dyć za to nie — choć się pytam...

KUBA. Tfu!

P. KASIA. Jeno tak haw radzą ludzie... (milczenie).

KUBA. Wam to gromada powinna płacić penksyą...

P. KASIA. Jak ty w niej ostaniesz wójtem...

KUBA. Hoho — zarazbym was zrobił asesorem...

P. KASIA. Tyś mądrala — szczęście wielkie, żeś się urodził biedoku...

JÓZEK. A co myślicie ciotko — nie byłoby dobrze — czas macie — robilibyście służbę, jak się patrzy...

KUBA. Nie trzaby było pisać okólników...

P. KASIA. Tyś się udał — nieboroku...

KUBA. Jak wasz ozór.

P. KASIA. Ty plugocu — szkoda, że cię ta święta ziemia nosi... Jeno poczka — hoho — jeszcze i na ciebie przyjdzie, ani się nie obejrzysz... (po chwili do Józka). A kaz ona?

KUBA (ironicznie). Wy nie wicie?

P. KASIA. Ty plugocu!

KUBA (patrzac jej w oczy). Ha — ha — ha.

Scena III.

CI SAMI, TEREŚKA.

TEREŚKA (wchodzi). Wy chłopcy nie kosicie?

JÓZEK. O głodzie przecie nie podobna.

TEREŚKA. Jaktó, a kaz Sobek?

JÓZEK i KUBA (wzruszają ramionami). Hm...

TEREŚKA. No widzieliście... Nawarzyłam i miałam wam wynieść poledninę... Ludzie na świecie z taką robotą (obziera się). Matkę znowu wpełchnął do stodoły... O ka się taki wziął (chwytając siekiere z gnata, odbija nią kłódkę od stodoły, otwiera drzwi i wyprowadza za ramię matkę; zdała dolatuje stłumiony ton piszczałki i słysząc go przez następną całą scenę).

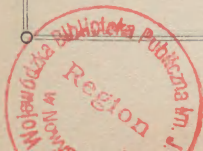
Scena IV.

CI SAMI, MATKA, KUMOSZKA, JĄKATY,
PRZYGDODNI.

MATKA (włosy rozpuszczone, zmierzwione, prawie całkiem siwe, ręce splecione i opuszczone, wzrok utkwiony w ziemię, ubrana tylko w koszulę i ciemną spodnicę, boso — prowadzona za ramię przez Tereškę, stąpa powoli i staje w szczycie stodoły pod jabłonią).

TEREŚKA (we drzwiach). Chciałby was ukryć przed tem światłem dziennem, ale to się nie da — nie... Będę wołać na całe gardło, na cały głos — niech wiedzą ludzie — niech wiedzą ludzie... (wchodzi kumoszka, po chwili Jąkaty i przygodni).

(Patrzą, potakują głowami).



TEREŚKA (pod jabłonią). Tak — tak — tu wam lepiej... Tu na was patrzy słońko, patrzą na was ludzie... Tak, tu wam lżej... O moja mamó — moja mamó (wybucha płaczem, obejmuje matkę za nogi, wszyscy stoją kołem nic nie mówiący).

KUMOSZKA (po chwili). Nie płacz ty Tereś, nie, choć się ta i płakać chce, bo darmo — trudno...

TEREŚKA (siedząc na ziemi obok matki). O moja chrześnymatko — nie uwierzycie, jak mi się przeokropnie płakać chce...

KUMOSZKA. Słuchaj ty dziewczę, słuchaj — tu płacz twój nic nie pomoże... Tu trzeba jeszcze radzić i ratować, co się da...

TEREŚKA (ciężko dysząc). Ho, dyć byłam w Suchem u młynarki leczyć uroki i gościec, ale jenom weszła w izbę, powiedziała mi odrazu: „Uroki nic nie pomogą, bo serce otrute i serce zatrzuwa krew“... (wzdycha) I dodała na ostátku: „Jeśli język nie przemówi — nie pomogą żadne leki — zamrze serce, nie odżyje i zatruje całą krew“...

KUMOSZKA (z tajemniczą miną). Weź ty jeszcze dziewczę, weź — kamionkowy dzbanek weź... I leć co tchu popod wierchy, popod zielone — a wymijaj brzeżki suche... I przynieś wody źródlanej, z dziewięciu zaczerpnij źródeł.

P. KASIA (przerywając). Ho — ho — ho — tu święconej wody trza... Od dołu czernieją nogi — tu święconej wody trza...

KUMOSZKA. Leć ty jeno dziewczę, leć...

TEREŚKA (wstaje).

KUMOSZKA. Nic nie pytaj, jeno leć... U mnie dzbanek kamionkowy — porwij, a leć... Wtył się nigdy nie obzieraj — a jak wody masz zaczerpnąć, trzy razy się wpierw przeżegnać, a wodę od siebie garnąć, to odzienesz moce złe.

TEREŚKA (odchodzi spiesznie — piszczałka przestaje).

P. KASIA. Tu święconej wody trza...

Scena V.

CI SAMI, JAŁKATY.

JAŁKATY (stary, przygarbiony chłopowina, podpira się laską, mówiąc, zacina się trochę, zwłaszcza na podniebiennych spółgłoskach, przyczem podnosi głowę do góry, a zresztą mówi urywanie i dość szybko, akcentując każdą zgłoskę). Nic tu wiela nie poradzisz, choćbyś i na głowie stanął...

KUMOSZKA. Ho moiściewy, aż się serce kraje...

JAŁKATY. Żeby tak nieboszczyk Skomla wstał...

KUMOSZKA. Ho! kumoterku...

JAŁKATY. Zapłakałby se nieborak — (odwraca się).

KUMOSZKA. Ho! moiściewy...

JAŁKATY (po chwili, na boku). Byliście też kumoszko na Kalwaryi?

KUMOSZKA. Jeszczem ta obwlekła moje stare kości.

JAŁKATY. Ono ta obdalno...

KUMOSZKA. I zaś jem podeszła tu, bo słyszę, że tu źle...

JAŁKATY. Ho, źle kumosiu — źle... A w sądzie ostrzegalem, aż mnie sędzia za drzwi stosił...

KUMOSZKA. Byliście na świadka?

JAŁKATY. Tak moiście — ale on stał nad nią, jak ten wilk nad owcą, a ja wołał: „Kumoszka, bośmy razem krowy paśli“...

KUMOSZKA. He raty...

JAŁKATY (trochę się odsuwa od matki, kumoszka za nim, potem i Pańska Kasia i inni). Ale bo-dajta nikt nigdy, nikomu za świadka nie chodził... Sędzia się go pyta: „Nie worywałeś ty się w spólniznę?“ On mówi: „nie“ i powiada: „Na granicy między ornem a pastwiskiem są kępy trzy i my z dziada i pradziada po te kępy orzemy“. A sędzia mu na to: „Słuchaj ty! tyś nigdy kęp w pastwisko nie posuwał?“ On powiada: „nie, i do minut godziny zaprzysięgnie“. „Przecie pomiar tak wykazał“, — powiada mu sę-

dzia — „jakby o cały zagon w pastwisko się posunęły“. Tak on na to: „Może być, że nieboszczyk ociec kiedyś tam się worali, ale to już przeszło 30 lat, jak po te kępy orzemy“.

KUMOSZKA. Raty — nieboszczyka z grobu ruszył...

JAŁKATY. Jeno wy se uważcie, jak on zrobił. I sędzia się go pyta dalej: „Wiele ty człeku masz lat?“ „Pięć trzydzieści“. „Ho, to ty nie możesz z całą pewnością potwierdzić“ — „ale matka to potwierdzi, bo“ — powiada — „ona ten zagon od swego ojca dostała na wiano“.

KUMOSZKA. Ho raty!

JAŁKATY. Zbladła moiściewy — ho zbladła, jak ta husta i zrazu nie mogła nic odpedzić. Ale on stał nad nią, stał moiściewy, jak ten wilk, a świ-drował oczami, — tak też potem zaprzysięgła...

KUMOSZKA. He, moiściewy...

JAŁKATY. Wyszła potem, szła koło mnie i jeno telo przepedziała: „Kumoterku, ja ta jeno źle zrobiła“. Ale on ją zaraz porwał na wóz. To były ostatnie jej słowa i tych nigdy nie zapomnę i, jak trzeba będzie, na sądzie boskim powtórzę.

P. KASIA. Dyć ta tak, ho tak — Bóg ta wie, jak to ta było i z tem worrywaniem...

JAŁKATY. Ba! przecie z roku na rok kępy wędrowały...

P. KASIA. Przecie na to świadka nie mas?

JAŁKATY. Ba, świadka — przecie to kaźdemu wi-
doczne...

P. KASIA. Dyć za to nic, ale Skomlę na tem nikt
nie chycił.

JAŁKATY. On się ta już wiedział, jak urządzać.

P. KASIA. Ja tu ani tego, ani tego nie bronię, bo
mi telo na Skomli, co i na Grzędach zależy,
ani mnie te podziały mało co obchodzą, jeno
się to tak mówi...

KUBA. Hmk, ba jakozby...

P. KASIA. Ale i szkoda co pedzieć — on ta zacięty
jest, bo jest jako i Sobek, ale jakby tam nie
było, co na tem prawdy, a ona (pokazuje nie-
znacznie na matkę) Boga w sercu miała...

JAŁKATY. Tfu!

P. KASIA. Przecie kara, i sąd i piekło...

JAŁKATY. Wiesz ty co, Kaśka, bo ci dwoił nie bę-
dę, bo ja już gazdował, kieś ty jeszcze gęsi po
kamieńcach pasła, ale ci powiem telo, żeś ty
dzieci nie miała i mieć ich nigda nie będziesz...

KUBA (śmiejąc się ironicznie). Na pyrci nie rośnie
trawa...

JAŁKATY. I ty nie wiesz, co to dzieci...

P. KASIA (patrzy z wściekłością na Kubę).

JAŁKATY. I ty nie wiesz, do czego doprowadzą
dzieci...

P. KASIA (porywa się z pięściami do Kuby).

KUBA (przed nią uchodzi na prawo).

P. KASIA. Ty plugocu, ty gałganie — ty dziadu krotny — twój brat już siedział za pysk w kryminale i ty mnie popamiętasz, i ty chcesz iść do kryminału... (wychodzi).

KUBA (oblatuje obejście i przychodzi, śmiejąc się, z lewej strony).

Scena VI.

(Wchodzi SOBEK, JAŁKATY, PACHOŁCY i MATKA zostają. KUMOSZKA i Przygodni odchodzą).

SOBEK (w kowalskim fartuchu, zabrukany, jakby robił w kuźni, wyciąga klucz, uwiązany na pasku, odmyka izbę, odwraca się i spoziera roztargnionym wzrokiem po obejściu). Tereśka!...

JÓZEK. Poleciała za wodą do źródła.

SOBEK. Idźcie jeść...

KUBA i JÓZEK (wchodzą do izby).

Scena VII.

SOBEK, JAŁKATY, MATKA, Przygodni.

SOBEK (jakby nie widział nikogo, zabiera się do roboty, bierze siekierę i zabija sprychę do głowy).

JAŁKATY (zbliża się). Pochwalony — spiera się na przyźbie).

SOBEK (nie patrząc na niego). Na wieki...

(Przechodzi pastuch z batem, patrzy ciekawie na matkę i idzie dalej).

JAŁKATY. Mój przodek?

SOBEK. Wasz.

JAŁKATY (poprawia głos). Hęk — hęk...

SOBEK. Choćcieście ta przeciw mnie świadczyli, a ja wam i tak najpierw robię.

JAŁKATY. Dyć za to nic (poprawia głos) — jeno mi się zdaje, że trochę przytwardo te sprychy wbijacie.

SOBEK. ...?

JAŁKATY. Miętko też co prawda niedobrze, ale, jak za twardo nabije, choć ta i żelazem ściągnie — to głowa pęknie, a jak nie, to sprychy zgryzie...

SOBEK (wstaje od roboty). Możecie se robić sami.

JAŁKATY. Tak? — (wstaje) ja tu jeszcze majstra znajdę... (zabiera koło, sprychy związuje w pasek, zarzuca na ramię, a na wychodnem do siebie:) Jabym na tym wozie, co ty zrobisz, skręcił kark...

Scena VIII.

SOBEK, MATKA, Przygodni.

SOBEK (chodzi po oborze zamyślony, często przystaje, patrząc w ziem, zbliża się ku stodole, patrzy na kłódkę). Kto tę kłódkę odbił tu? (odwraca się) — Tereśka! (po chwili do pastuchów, co się zatrzymali koło matki) Pójdziecie wy stąd (obziera się na chałupę, podchodzi, przystaje, odwraca się — wchodzi Dziad).

Scena IX.

CI SAMI, DZIAD, P. KASIA, KUBA i JÓZEK.

DZIAD (siwy, barczysty, wysoki, wychudły, połatany, z torbami, na piersi medale — wchodzi powoli z prawej strony).

SOBEK (siada na dziadku, bierze ośnik i zabiera się do strugania sprych).

DZIAD (podchodzi blisko niego, klęka, rozkłada się, żegna, wymachując szeroko rękami; podczas westchnień słychać często urywane słowa modlitwy, a cały czas patrzy na matkę).

P. KASIA (wchodzi). Pochwalony Jezus Chrystus.

SOBEK (podnosi głowę i patrzy na nią dłuższy czas). Na wieki wieków...

P. KASIA (siadając na przyzbie). Ja tu już dziś byłam raz...

DZIAD (z westchnieniem). Ho! Panie Jezusicku...
P. KASIA. Ksiądz się dziś o was pytał na rannej mszy. Rozdawano stacye, a was nie było. — Strasznie mu to dziwno było...

SOBEK (struga dalej).

P. KASIA. Po mszy wlażłam do niego na chwilę, bo mrugnął na mnie i rozpytywał się o wszystkim. I kazał mi wam powiedzieć: „choć najgorsze padnie na człeka, o Panu Bogu zapominać nie trzeba“.

DZIAD (ziewając). Ho, Panie Jezusicku, złoty, pokochany.

P. KASIA. A Grzęda stary był; całą mszę przeleżał krzyżem i płakał — jaże mokre kamienie ostały...

KUBA i JÓZEK (wychodzą z izby. Józek obciera gębę rękawem, Kuba z fajką w zębach, biorąc kosy, wychodzą, pozierając ironicznie na Pańską Kasię).

P. KASIA (udaje, że ich nie widzi, po chwili do Sobka). Tego plugoca Kubę, toście się raz powinni pozbyć od chałupy — jużem wam to nieraz powiedziała... To jak dycha, tak brecha... W nim się napewno sam dyabeł okocił... Z takim to i szczęścia niema przy obejściu.

SOBEK (milczy).

P. KASIA (po chwili półgłosem). Wyrok pono już jest?

SOBEK. Jest.

P. KASIA. No widzicie — chwała Bogu — ale wy tu z tymi Grzędami jeszcze nieprędko skończycie — to gady — niech Bóg zachowa — uparte a zawzięte. Ho, ho — tak to bywa — tak hań było i na Bystrem: Było dwóch braci — procesowali się długie roki, a tak zajadle, że o mało oba z torbami nie poszli. Tak jeden potem — pójdź po rozum do głowy — jak jeno wyrok dostał, odrazu zapisał na parafię i skończyło się... Tamten drugi już nie śmiał rekurować... A byliby już czysto, pięknie na dziady zeszli. Tak to niejednego Pan Bóg rozumem natchnie...

DZIAD. Ho, Panie Jezusicku!...

P. KASIA. Grzędy ta uparte — oni ta na tem nie przestaną... Ale się jeno Bogu polecić, bo choćbyś był mocarz, jak Goliat, to cię mały Dawid zmoże... Ho — miał też jeden ksiądz piękne kazanie na świętej Kalwaryi... Szkoda, żeście nie byli. Młody był, gadał głośno a żałośnie — baby płakały tak, co cud. A pod koniec, jak zaczął o sądzie ostatecznym, o niebie, o piekle — taki podniósł się lament, taki krzyk... Widziało

się, drzewa płakać będą, kamienie przemówią,
abo się już co to stanie...

DZIAD (ziewając). Ho, Panie Jezusicku złoty, po-
kochany...

P. KASIA. A ludzi było moc. Różne, przeróżne
zeszły się narody: szlązacy, orawcy, śpiżacy,
lacy — dawno już tyle luda nie było, co tego
lata... A byli tam ludzie z Orawskiej Górki
i opowiadali, jako u nich jest ksiądz, co ma
walor odpuszczać wszystkie grzechy.

SOBEK...?

P. KASIA. Pono ze samego Rzymu walor ma...

SOBEK. Skąd ci ludzie?

P. KASIA. Z Orawskiej Górki — niedługo tam od-
pust będzie...

SOBEK. Daleko to?

P. KASIA. Dyć mówili, że dzień drogi.

DZIAD (z westchnieniem). W Imię Ojca i Syna
i Ducha Świętego (trzy razy).

Scena X.

CI SAMI, BABA.

BABA (przechodzi z prawej strony, niesie olbrzy-
mie brzemię jałowców na plecach, przystaje
koło matki, żegna się, idzie z nogi na nogę,

obziera się jeszcze raz na matkę, znów żegna i idzie dalej).

SOBEK (tymczasem spojrzawszy za siebie, staje, wchodzi do izby, wynosi przygarście surowych ziemniaków i daje dziadowi, poczem siada dalej do sprych).

DZIAD (otwierając torbę). Panie Boże wielki zapłać.

P. KASIA. Zdalekaście dziadku?

DZIAD (odrywa na chwilę wzrok od matki i mówi trzęsącym głosem). Ja ze Zaskala, ale mi wolno chodzić po całym Podhalu, bo ja wiece trzynaście roków przy dragonach służył... (wzdycha). I ociec mój miał gazdowstwo wielkie, parę koni chował — i poszło na marne...

P. KASIA. Zgorzeliście?

DZIAD. Nie...

P. KASIA. Dzieci zjadły?...

DZIAD. Nie — ozmarniłem sam... Było tak: ja w kosiutskiej wojnie był. Szliśmy wtedy z Moskalami... Raz nie było co jeść — puściliśmy się od chałupy do chałupy. W jednej nie było nic, jeno na środku dyli trumna, a przy niej na beczce siedział siwy człek. Odbiliśmy — wino było... Już miałem pić, kiedy kapral wytrącił mi z rąk i dał naprzód pić siwemu. Nie chciał — aż mu do gardła przystawił sza-

blę, wtedy połknął i odrazu zbiełały mu oczy... Wypadliśmy wściekli dalej (znów patrzy w stronę matki i już prawie nie spuszcza z niej wzroku; a bełkocze, jako rzecz, którą nie po raz pierwszy powtarza, przyspieszając tempa). Ja wpadł znowu do chałupy — przy piecu stała kobieta — u jej nóg umarłe dzieci — jedno trzymała przy piersiach a u boku miała szablę, i tak stała nieruchomo — w chałupie nic nie znalazłem — na wychodnem pchnąłem w piersi — zachwiała się, krwią zalała — wytrzeszczyła straszne oczy — to mię zrobiło dziadem... (zbiera popiesznie manatki i mówi coraz szybciej). Wróciłem, wołałem, nikt mnie nie chciał aresztować, bo miała u boku szablę. Zacząłem pić, majątek marnić — nie pomogło. Dopiero mię wiara święta zratowała... Zrobiłem spowiedź z całego życia, puściłem się po odpustach i wte mi się lżej zrobiło... (cofa się pomału, bokiem — patrzy wciąż na matkę). Ale wiara mię zbawiła... Wiara nasza wielka jest, uczy świętej cierpliwości, ona uzdrawia, ona pociesza, ona goi rany — możesz być chorym a żyć — możesz być chorym, a chodzić po świecie... (przy wyjściu tym samym głosem:) Bywajcie z Bogiem moi dobrzy ludzie (znika).

SOBEK i P. KASIA (patrzą za nim).

Scena XI.

CI SAMI, CYGAN.

CYGAN (wchodzi z prawej strony — zdejmuje kapelusz przed matką, patrzy na nią ciekawie, potem podbiega ku Sobkowi).

P. KASIA. Znów nie-roboń — bania pękła...

CYGAN (głaskając Sobka po ramieniu). Gazdo! Gaździku, wesprzyjcie.

P. KASIA. Możebyś ty pacierz zmówił.

CYGAN. Ja nie umiem...

P. KASIA. A kraść umiesz?...

CYGAN. Gazdo! Gazdo! wesprzyjcie — wyście przecie chrześcijan — gaździku, wyście chrześcijan sprawiedliwy...

SOBEK (wstaje).

P. KASIA. Nie — nie dajcie — niech wpierw zmówi pacierz — bo to się Boga nic nie boi...

CYGAN (do Pańskiej Kasi). Tfu!... Tfu!... Tfu!... (odchodzi spiesźnie, przebiegając koło matki, całuje ją w rękę, za sceną dziko:) He-he-he-he...

P. KASIA. Tak — trzeba uczyć rozumu...

Scena XII.

SOBEK, P. KASIA, MATKA, PASTUCHY.

(Słonko prawie ślizga się po dachach).

SOBEK (spoziera za słonkiem, odgania pastuchów od matki, obziera się po obejściu i woła:) Te-reśka!...

P. KASIA. Ona tu nie prędko przyjdzie...

SOBEK (odwraca się i stoi patrząc w ziem).

P. KASIA (wstaje i zbliża się z tyłu, bierze go za rękaw i przyciszonym głosem:) Wiecie — Grzędowie napewno rekurs wnoszą...

SOBEK (macha ręką). Nie nowina...

P. KASIA. Ba — ale i skargę o krzywoprzysięstwo...

SOBEK (przyciszonym głosem). Coo?!

KASIA. No — no — i jeszcze coś...

SOBEK...?!

P. KASIA. Mówił ten stary, ale jeno do swoich w chałupie, że dziś-jutro sprowadzi doktora, coby osądził, co to za choroba u matki, bo — powiada — ściśnie zemrzeć, to po wszystkim...

SOBEK. Coo!?!... Doktora!?!... (z udaną ironią).
Głupi stary.

P. KASIA. Ho, ho, on tam swój rozum ma... Ale mi już trzeba brać się...

SOBEK (bierze ją za rękę). A na odpust zbierecie się?...

P. KASIA. Na który — aha na Orawską Górkę... —
Ho pójdę, pójdę — może się i wy zbierecie...

SOBEK. Jeszcze nie wiem...

P. KASIA. O zbieremy się — bo ta warta —
a dzień drogi... Ale z Bogiem, bo już idę...

SOBEK (nie puszczając wciąż jej ręki). Ba — na-
wet nie byliście w izbie...

KASIA. Jeszcze kto nadejdzie...

SOBEK. Jeno wleźcie...

KASIA. Dyć ta — czekałam dziś przed ranniej-
szą... Myślałam, że po mnie wstąpicie... A po
rannej siedziałam doma, ale was tam cosi kajsi
polami nosi...

SOBEK (ogłędając się poza siebie). No — nic —
jeno wleźcie — napijecie się choć mleka...
(wchodzi — za sceną słychać zbliżający się
głos piszczałki).

Scena XIII.

MATKA, PASTUCH, RZANDZIARZ, PRZYGODNI.

PASTUCH (ukazuje się z prawej strony — idzie
powoli, gra na piszczałce, koło matki przerywa,
zakłada ręce z piszczałką w tył, stoi chwilę,

popatrzy i idzie dalej grający. Za nim nadchodzi)

RZANDZIARZ (chłop siwy, bez kapelusza, z rozwianym włosom, w czarnej długiej guni, co zrobi trzy kroki, klęka, całuje ziemię, żegna się trzy razy i woła za pastuchem). Nie bluźnij!... Nie bluźnij... Dziś piątek — dzień pański — jak śmiesz grać... Nie bluźnij... (znów trzy kroki i znów całuje ziemię, żegna się i znów) ...Nie bluźnij... Dziś piątek — dzień pański — jak śmiesz grać... Nie bluźnij... (koło matki). Ludzie, opuśćcie to miejsce... Ludzie! — tu piekło... Ludzie!... (znika).

PRZYGODNI (paru pastuchów, dwie baby, chłopowina, patrzą za nim — po chwili mówią bezładnie:)

- Je głupi rzandziarz...
- Głupi, ale ta i prawdę gada...
- Ono ta nie inaczej...
- E, Boże...
- Patrzcie, jak czernieją nogi....
- E, Boże...
- Do czego to ludzka złość przywiedzie...
- He, plugoce...
- Bogoce...
- Tak człowieka okwacić...
- Prawotniki...

- Pobożniki...
- Tercyozrze...
- A za grajcar dyabłu duszę odda...
- Świętoszki...
- Nienażarci...
- Pana Boga-by z wierzby zjedli...
- Bogoce...
- Plugoce...

Scena XIV.

(Słonko znika z dachu i powoli odtąd nadchodzi wieczorny zmierzch).

MATKA, PRZYGODNI, SOBEK, P. KASIA.

SOBEK (wychodzi szybko z izby, staje na środku obory, obziera się i woła). Tereśka!... (i znów się obziera, znikąd nic, zbliża się ku matce).

PRZYGODNI (rozchodzą się, a wtedy z izby wychodzi)

P. KASIA (umyka chyłkiem).

SOBEK (za nią się ogląda).

P. KASIA (grozi mu tajemniczo palcem). Pamiętaj se!... (znika).

Scena XV.

SOBEK, TEREŚKA, PRZYGODNI.

SOBEK (bierze matkę za ramię). Wieczór się zbliża, chodźcie już do izby mamó... (automatycznie rusza ją z miejsca, robi z nią parę kroków, wtem wbiega)

TEREŚKA (dzbanek stawia na ziemi, obejmuje matkę za kolana i nie puszcza z miejsca). Moja mamó... Moja mamó... Znów was chce ukryć przed ludźmi — przed światem... Zabrania wam tej niemej spowiedzi...

PRZYGODNI (znowu schodzą się powoli).

SOBEK (do Tereśki). Przecie wieczór idzie...

TEREŚKA (obejmuje matkę za nogi). O nie o wieczór tobie chodzi...

SOBEK. Dyć puść, bo się schodzą niepotrzebnie ludzie...

TEREŚKA. Tak, niech się schodzą — niech widzą — niech patrzą — ja tego chcę — tak chcę — niech patrzą na twoją ofiarę — niech patrzą na ciebie, jako winowajcę... Tak, teraz wiem, czemu krew zatruwa serce... (wybucha płaczem).

Scena XVI.

CI SAMI, GRZĘDA, JASIEK.

GRZĘDA (wchodzi z dwoma chłopami).

JASIEK (za nimi).

TEREŚKA (do Sobka). Tyś ich zmusił, tyś przeraził, a tyś sam winowajca... Tyś posuwał kępy sam... Tyś sam posuwał kępy — tak niech wiedzą ludzie — niech wiedzą wszyscy ludzie... A mnie niech wiedzą przed sąd — tam powiem... Tam wyznam i tam będę świadczyć...

SOBEK. Jeśliś widziała na własne oczy, to idź i świadcz... (potrąca ją nogą i prowadzi matkę dalej).

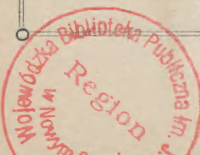
TEREŚKA (opada na ziemię i szlocha).

JASIEK (uspakaja ją zcicha).

STARY GRZĘDA (wymachując rękami). Hoho — przypatrzcie się ludzie, przypatrzcie się ludzie — ino się dobrze przypatrzcie, bo będziecie świadczyć... Ja was wszystkich na świadectwo wzywam — dobrze się przypatrzcie ludzie...

SOBEK*(prawie we drzwiach znika z matką).

TEREŚKA (równocześnie porywa się z ziemi i także wchodzi w izbę).



Scena XVII.

CI SAMI bez MATKI, SOBKA i TEREŚKI.

JASIEK (wpadając spokojnie w poprzedni ton ojca).
Tak — tak. Przypatrzcie się ludzie — dobrze się
przypatrzcie, jak gazdują gazdy — honorne, po-
bożne gazdy, — pierwsi w kościele, pierwsi
w gromadzie — pierwsi na urzędzie...

GRZĘDA (za każdym swoim powiedzeniem za-
biera się do odejścia, ale znów wraca). Ciebie
się o to nikt nie pyta.

JASIEK. Ale się samo z płuc wrywa...

GRZĘDA. Ale ty masz tam być cicho, gdzie twój
ociec mówi...

JASIEK. Tak, ale tu nie mówi ociec, jeno gazda,
taki sam, jak i Skomla.

GRZĘDA. Milcz! — wyrodny synie...

JASIEK. Ojcu całowałbym ręce, bo ociec, to serce
— ale u was serca ani krzty... Jesteście ino
gazda, taki sam, jak i Skomla, co jedną ręką
Pana Boga głaska, a drugą z dyabłem dobija
targu. Wam choćby po sto razy jedno i to sa-
mo mówił — nie robi nic — bo żyjecie obłudą,
a duma wyżarła wam wnętrza, jesteście jak te
żłoby próżne, a Pańskie Kasie wami rządzą...
I dlatego ja się za was wstydzę — za waszą

siwiznę... I wierzcie mi, wolałbym być synem ostatniego chałupnika, ostatniego najmity...

GRZĘDA. Miarkuj ty się synku!...

JASIEK. Wstydzę się, żem synem gazdy...

GRZĘDA. Stoś ty okowanych dyabłów zjadł, ty włóko...

JASIEK. Tak, wstydzę się, żem wasz syn...

GRZĘDA. Tak ty z ojcem gadasz?... Tak ciebie świat nauczył — tak ty dbasz o swój ród, o swoje śmiecie?... Ale sobie popamiętaj!... Niedoczekanie twoje — będziesz ty miał Tereskę... Na mój stodusiu! niech tu słyszą ludzie — niedoczekanie twoje... Nie dam nic — nie dam nic, ani telo, co czarne za pazdurem... Wyrzucę z domu het..., z pod mojego dachu het..., na śtery wiatry..., żeby cię nigda moje oczy nie widziały... (ciężko sapie).

JASIEK (kłania się kapeluszem). Dziękuję wam ojcze — stokrotnie dziękuję. Teraz już nie mam do was złudy... Uwolniliście mnie sami od tego zacnego, pobożnego gazdowania... Zdjęliście mi łańcuch z nóg — jestem wolny... Wyrwaliście mnie z bagna, na co może sam nie byłbym się zdobył... — Wypchnęliście mnie z tej kuźni przykładowej gazdowskiego życia — z tej kuźni jadu, zarozumiałości, obłudy i fałszu... Ho, teraz mi lżej — teraz bym wam naprawdę uca-

łował ręce. Ale pamiętajcie — robicie podziały — żrecie się o próżne nic...

GRZĘDA (uchodzi).

JASIEK (głośno za nim). Ofiara wasza, to tam! (pokazuje na drzwi), to stygnący żużel, wyrzucony z waszej podłej kuźni...

Scena XVIII.

CI SAMI, TEREŚKA.

TEREŚKA (wybiega z flaszką). Co się stało? — ludzie!...

GRZĘDA (przy wyjściu — obziera się).

JASIEK (obejmuje ją w ramiona). Nic moje dziecko — jeno od dziś dnia ja cały twój, a tyś moja przed ludźmi — przed światem (chce ją uściskać).

TEREŚKA (wirywa się). Puść — bo mnie posłał po święconą wodę... (wybiega, za nią rozchodzą się ludzie).

Scena XIX.

Zmrok.

SOBEK (wychodzi na środek obejścia, blady, rozgląda się, wraca do drzwi, znów staje, ogląda się, podchodzi pospiesznie ku drzwiom, jeszcze

się raz obziera, wchodzi, zawiera za sobą drzwi od sieni, przyciska po raz drugi, wychyla jeszcze głowę, znika, zacina drzwi.)

Scena XX.

KUBA, JÓZEK.

KUBA i JÓZEK (wchodzą z kosami, wieszają je pod strzechą na kołkach).

KUBA (wchodzi do izby).

JÓZEK (uprzątuje graty na obejściu).

KUBA (wnet wychodzi z izby, z progu przyciszonym głosem). Józek, wiesz co?...

JÓZEK. Co?...

KUBA. Gaździna przegadała...

JÓZEK. Co ty mówisz?...

KUBA. Na mój dusiu — przeciłem na własne uszy słyshał.

JÓZEK. Ka lecisz?...

KUBA. Po konie mnie gazda wygnał (odchodzi spiesznie).

Scena XXI.

SOBEK, TEREŚKA, JÓZEK.

SOBEK (wychodzi z izby zmiészany, nogi pod nim dygoczą, opuszcza się na przyzbę).

TEREŚKA (nadbiega, wchodzi do izby i świeci).

JÓZEK (do Sobka). Prawda to, gazdo, co ten ple-
cie?...

SOBEK (z przerażeniem). Coo?! co?!...

(W tej chwili rozlega się w izbie płacz Tereški).

SOBEK (zrywa się, wbiega w sień, znów wypada).

Po księdza!... Po księdza — co tchu!!!...

Koniec aktu drugiego.



AKT III.



AKT III.

Obejście Skomli, jak w akcie II. Pora poobiednia — słońko świeci jasno — ludzie ubrani odświętnie wracają z pogrzebu.

Scena I.

KUBA, JĄKATY, KUMOSZKA.

KUBA (siedzi na progu stodoły ubrany odświętnie, łokcie oparł na kolana, głowę ujął w dłonie).

JĄKATY z KUMOSZKĄ (wchodzą z prawej strony, on mówiąc, zawsze przystaje i zwraca się do niej).

KUMOSZKA. Niema co pedzieć — pogrzeb ta zaś co sprawił — to sprawił — okazały.

JĄKATY. Jeszcze by też — przecie gazda...

KUMOSZKA. Ale ta ludzie sarkali...

JĄKATY. O cóż-by nie...

KUMOSZKA. Przecie tak bez księdza dać zemrzeć...

JĄKATY. Ba...

KUMOSZKA. Ale go tam trochę ksiądz okrzyczał...

Czasu przecie miał dość, bo od trzech dni coraz gorzej było...

JAŁKATY. On ta miał czem innem głowę nabitą — moiściewy.

KUMOSZKA. Grzędowie teraz o mało się nie wściekną...

JAŁKATY. Hoho — przepadło — przecie z parafią prawować się nie będą...

KUMOSZKA. To prawda, co gadają ludzie?

JAŁKATY. O macie rozum, przecie darmo z księdzem do notara nie jeździł...

KUMOSZKA. No wicie — ono ta prawdę mówią ludzie...

JAŁKATY. Ba — on się już sam tem dziś pochwalił...

KUMOSZKA. Grzędy pewnie teraz będą chcieć nowego podziału...

JAŁKATY. To mogą — ale ten zagon już przepadł raz na zawsze...

KUMOSZKA. No wicie — przecie to matkowizna była...

JAŁKATY. Ba, ale się matka jemu podpisała...

KUMOSZKA. A Tereśka na lodzie...

JAŁKATY. Hmk — moiściewy...

KUMOSZKA. Przecie jej za to choć co z ojcowizny puści...

JAŁKATY. Puści, jak be chciał...

KUMOSZKA. Ale ta i pogrzeb musiał go dobrze skrobnąć...

JAŁKATY. Niema co pedzieć...

KUMOSZKA. Tych świec było ze trzydzieści, a i kazanie piękne...

JAŁKATY. Bo to moiściewy tak — jak tak, to tak, a jak tak, to znowu inaczej...

KUMOSZKA. A i na stypę potem ludzi zaimał do karczmy...

JAŁKATY. Jabym ta kieliszka od niego nie przełknął.

KUMOSZKA. Dyć ta ludzie nie barz szli, jeno ci podwyśni.

(Przechodzą prawie koło Kuby).

Scena II.

CI SAMI i KUBA.

JAŁKATY. A ty co tak dumasz?...

KUBA. Nic — czekam na gazdę...

JAŁKATY. Ho — on tu przyjdzie (potrzasa głową), be gazdował dalej...

KUBA. Ho — dyć on już nagazdował...

KUMOSZKA. Dopiero teraz bedzie...

KUBA. Bedzie czy nie bedzie — ale bezemnie, bo ja idę het...

JAŁATY. Ba...?

KUBA. Bo se już nie wiem rady dać, od trzech dni se miejsca znaleźć...

JAŁATY. Mój kochany?...

KUBA. Idę het — bo jaby nie mógł jeść chleba pod tym dachem i z jego rąk...

JAŁATY. Ba — gdzież ty teraz służbę najdziesz?...

KUBA. Najdę, nie najdę... pójdę het, przecie ka kto przyjmie...

JAŁATY. Ba — on cię jeszcze ziandarami wróci...

KUBA. Jabym tego chciał — jużby ja im wiedział co powiedzieć... Wiecie (zbliża się), ja wam tu powiem... Wtedy wieczór, jak to niby zmarła, my wrócili z pola. Ja wszedł do izby, ona leżała na pościeli i tak, jakby podniosła głowę. Dziwno mi to było, bo przedtem całe noce stała w kącie... Ale gazda zaraz do mnie: „Idźno idź po konie“. I prawie przekraczam próg, a tu słyszę jej głos: „Sobek — bo powiem“... Mnie to, wiecie, trochę thnęło i z ciekawości nie dowarłem drzwierzy... Patrę w szparę, a on klęknął ku pościeli, obejrzał się poza siebie... I co zrobił — nie wiem — przysięgał nie będę. Zmierzchało się i ja poszedł. Tylem słyszał i widział i tego nie zapomnę.

KUMOSZKA. Bój się Boga, co ty gadasz!?

KUBA. Człek się nie nazdał — nawet mię to ucieszyło, że jej już lepiej będzie, jak przegadała, bo ta nieboszczka dobra była — dopiero później, jak Tereśka opediała, że już zimną namacała, tyleż by mi nóż tu wsadził...

JĄKATY. He — Bóg to wie — moi ludzie — jej ta wiela nie trza było, przecie zeschła, jak to kurcze...

KUMOSZKA. Bóg to wie miłosierny...

JĄKATY. Żebyś był wszedł, a łapił za ręce...

KUBA. Ba — któż się spodział...

KUMOSZKA. I tak zesła...

JĄKATY (ciężko), Marnie zesła...

KUMOSZKA. I bez księdza...

JĄKATY (ręce w górę). Tu krzyż zawisł nad tym domem (w oczach łzy — odchodzi na lewo).

Scena III.

KUBA, KUMOSZKA.

KUMOSZKA. He, Bóg to wie — kara go ta nie ominie... Tam zapłatę każdy znajdzie... (po chwili). A ty chłopcze nie bądź głupi — każ ty teraz pójdziesz przecie — szkoda, on ci służby nie wypłaci — kiebyś dobył do pół lata — pierwej by cię kan kto przyjął...

KUBA. Już ja nie wiem, co ja zrobię... (z prawej strony słyhać zbliżający się płacz Tereški).
KUMOSZKA. Tereška biedna wraca...

Scena IV.

CI SAMI, TEREŠKA, JASIEK, JÓZEK,
PRZYGODNI.

TEREŠKA (nadchodzi z prawej strony — Jasiek prowadzi ją za ramię — Józek idzie za nimi — z nim kilkoro ludzi).

TEREŠKA (za sceną). Ho — ludzie, ludzie — pokochani ludzie — to nie może być... (wchodzi) — to nie może być... (wybucha płaczem) — to nie prawda, ludzie... To nie prawda — to nie może być... (opuszcza się na przyźbę) Ho-ho-ho-ho... (głową uderza o ścianę).

JASIEK (ją podtrzymuje).

TEREŠKA (płacze). Ho-ho-ho... Jeśli to prawda — niech i ja zczernięję — niech mnie to jasne słońko spali — niech się ziemia podemną rozstąpi — niech i ja wpadnę w piekło... Ho-ho-ho-ho... (mdleje).

JASIEK. Wody! (wypada i przynosi szybko w kapeluszu — krzepi ją — daje pić).

TEREŠKA (powoli przychodzi do siebie — ciężko dysze). Woda — taka dobra woda...

JASIEK (siada przy niej — bierze jej głowę na kolana — podtrzymuje dłonią, z czoła odgarnia jej włosy).

TEREŚKA (otwiera oczy, spoziera na Jaśka, potem na ludzi). To wyście ludzie, moi dobrzy ludzie...

JÓZEK (patrzac na drogę). Gazda idzie...

PRZYGODNI (rozchodzą się powoli).

TEREŚKA (zrywa się).

JASIEK (chwyta ją za rękę i sadza obok siebie na przyzbie).

Scena V.

CI SAMI, SOBEK.

SOBEK (wchodzi dość pospiesznie, mimochodem spoziera obojętnie na Tereškę, sięga ręką za próg do stodoły, wyciąga klucz, odmyka drzwi od chałupy, odwraca się do pacholków). Chłopcy, trza się ozierać a brać za kosy, bo tej pogody pewnie nie długo (wchodzi, za nim Józek, a powoli i Kuba).

Scena VI.

TEREŚKA, JASIEK.

TEREŚKA (opierając głowę o ramię Jaśka). O Jaśku, Jaśku, tak mię serce boli, zda się lada chwila pęknie...

JASIEK (przytulając jej głowę do siebie). Wypłacz się spokojnie...

TEREŚKA. O Jasiu, Jasiu — tyś jeden na świecie...

JASIEK (przyciska silnie jej głowę do piersi).

TEREŚKA. Ty jeden żyjesz prawdą...

JASIEK (całuje jej włosy).

TEREŚKA. Więc to nie tak, jak mówią ludzie?...

JASIEK. Nie — nie — uspokój się...

TEREŚKA. A tak przecie mówią wszyscy ludzie, bo bez księdza zmarli — na samo dno — i nigdy...

JASIEK. Uspokój się — tam sądzi inszy sędzia, niż tutejsi ludzie...

TEREŚKA. O Jaśku — upewnij — pomódz, bo mnie ból zabije...

JASIEK. Uspokój się... Tam położą na szali złe i dobre... (po chwili) — Wierzysz ty mi Teres?...

TEREŚKA. O Jaśku — a komóż na świecie...

JASIEK. Więc ci powiem, by cię upewnić i uspokoić... Jak byłem mały, chodził do nas dziad — siwy był, jak gołąb. Znali go ludzie, skąd przybył — różnie powiadali. Rad się bawił z dziećmi... Ty go nie baczysz, boś ledwo wtedy od ziemi odlazła... Mówił ludziom o miłości — a ludzie z niego się śmiali. Tak przyszedł raz — ja się bawił w izbie z jagniętami — dał mi bielutkiej kukiełki i powiada: „Pójdiesz ty ze mną?” — a ja mówię: „Pójdę“ i wyszedłem

z nim w pole. On wziął mię za rękę i powiódł na łąki. Rwał ze mną kwiatki i pletliśmy wianek... Ja mu trzymałam, a on składał kwiatek do kwiatka i dużo dziwnych rzeczy opowiadał o naszych górach, i naskich ludziach — o Janosiku — jak go boginki wychowały, jak mu dały pas czarowny i ciupagę, jak mu potem rady dać nie mogli — kula się go nie jęła — za regiment wojska stał... A potem wsadził mi wianek na głowę i pyta się: „A ty czem chcesz być na świecie — chłopcze?“ Ja mówię: „Nie wiem“. „A chcesz być mocny, jak Janosik?“ „Chcę“. Wtedy pokazuje mi łąki, pola i lasy, góry, niebo i słońko i powiada: „Umiłuj choć jedno z tego, co widzisz, a to nauczy cię umiłować drugie i tak wejdiesz na drogę, po której idęcy, staniesz się mocny“ i powiada: „Janosik jedno umiłował, — nigdy biednego nie krzywdzić, nie jego to wina — i przez to był mocny“. „A chcesz ty być wiecznym?“ pyta — bez namysłu mówię: „Tak“. „Naucz się być mocnym, a będziesz wiecznym“. Uśmiechnął się do mnie i pogłaskał i mówi dalej: „Umiłuj — umiłuj choć jedno na świecie, a żadna siła cię nie zmoże“... „Umiłuj — umiłuj...“ tak mówił i poszedł przez pola. A ja długo stałem, patrząc za nim. Chciałem coś wołać, a nie mogłem. Więcej go potem

oczy moje nie widziały. Zmarł pono wnet, ale długo o nim powiadali ludzie, a mnie to, co mówił, spać nie dało. Wiecznie w uszach grało: „Umiłuj — umiłuj...“ Moc medetowałem i dziś zdaje się, jestem na drodze, bo nieraz czuję w sobie taką siłę, że choćby całe Podhale, pół świata na mnie się waliło — niczem jest... Zda się niczem śmierć, niczem ogień piekła... Bo wewnątrz pali stokroć większy żar, dwoisty żar... żar umiłowania i żar buntu przeciw temu wszystkiemu, co poniża człowieka przed człkiem, przeciw temu całemu obłudnemu gazdowaniu... Niema siły, którejbym się zabał... Niema przepaści, którejbym nie przeszedł... Taką moc daje umiłowanie... Widmo piekła straszne jest jeno dla tych, co nigdy nic nie umiłowali. I dlatego nie bój się — nicch mówią, co chcą... Matka twoja, była matką, naprawdę matką i taką poszła w grób. To jedno szalę przeży...

TEREŚKA. O Jaśku... Jaśku...

JASIEK. Wierz mi i bądź pewną...

TEREŚKA. O mój ty jedyny...

JASIEK (przyciska ją do siebie). A teraz trudno, nie mamy tu co robić, ani ty, ani ja... Obaśmy wydziedziczeni i oba wolni... Pójdziemy w świat... Mnie świat nie cudny — doścjem się w nim na-

robił... I tobie będzie lżej... Śmiało pójdiesz ze mną... Starał się będę zastąpić ci matkę, a dłonie zastąpią nam rolę. Pójdziemy razem, z miejsca na miejsce, jak te ptaki wolne, a może gdzieś we świecie spotkamy ludzi innych — ludzi, co mają gorące sumienie, co nie umią spokojnie znosić krzywdy, co nie umią spokojnie żyć pośród zimnych, co nie umią spokojnie jeść pośród głodnych...

Scena VII.

CI SAMI, KUBA, JÓZEK, SOBEK.

KUBA i JÓZEK (wychodzą w robotnym stroju).

SOBEK (tak samo za nimi, od proga). Idźcie chłopcy, a ponaglajcie się — ludzie siana kończą...

JÓZEK (bierze kosę i wychodzi).

KUBA (bierze kosę, zabiera się iść, przy wyjściu jednak staje niezdecydowany).

SOBEK (zabiera się do majsterki — wysuwa stolicę kołodziejską trochę naprzód i nie patrząc na Tereškę, mówi spokojnie). A ty Tereška też byś się już mogła zabrać do jakiej roboty...

JASIEK. Od Tereški teraz wara! Skończyły się już wasze nad nią rządy...

SOBEK (groźnie). Jako ty Jasiek mówisz?

TEREŚKA (podnosi się i oboje z Jaśkiem patrzą Sobkowi w oczy).

SOBEK (spoziera niby odruchowo poza siebie i spostrzega Kubę). A ty czego jeszcze stoisz!?...

KUBA (rzuca kosę pod jego nogi i pluje). Tfu!... Tfu! Tfu! pluję na waszą służbę!... Tfu!... Tfu!... Tfu!... (wychodzi, milczenie).

Scena VIII.

JASIEK, TEREŚKA, SOBEK.

JASIEK (do Tereśki). Zbierz się wnet — za godzinę idziemy w świat... (odchodzi).

TEREŚKA (wchodzi do izby).

SOBEK (patrzy na kosę, bierze ją powoli z ziemi — przystaje — zbliża się ku izbie i siada z głębokim westchnieniem na przyzbę. Siedzi i patrzy w ziemię na zwrócone do niego ostrze kosy).

Scena IX.

SOBEK, PAŃSKA KASIA.

PAŃSKA KASIA (nadchodzi, patrzy przez chwilę, i zbliża się). Pochwalony Jezus Chrystus...

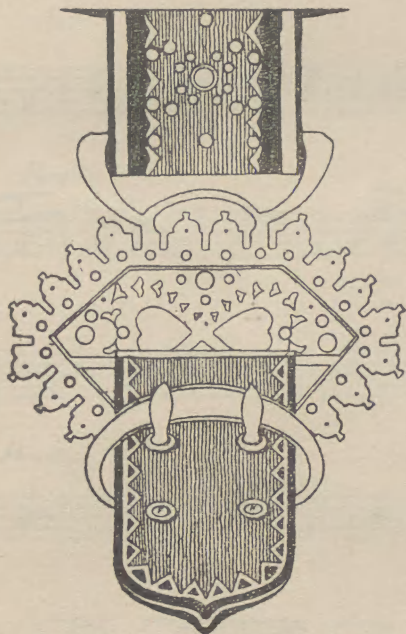
SOBEK (milczy).

PAŃSKA KASIA. Zbierecie się może Sobek na
Orawską Górkę?...

SOBEK (podnosi głowę i patrzy w nią...).

(Kurtyna zsuwa się powoli).

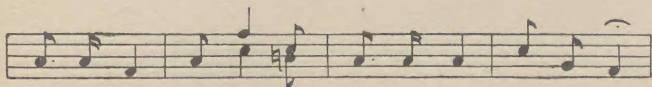
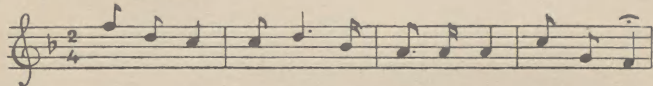
KONIEC.



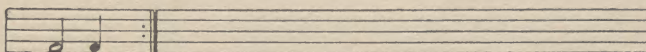
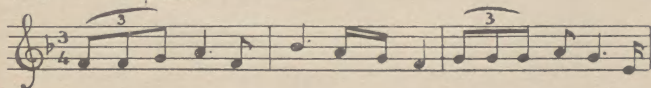
GŁOS PISZCZAŁKI

W AKCIE II

I *Powoli*



II *Powoli*



III *Powoli*

